

Bóle
 REUMATYCZNE
 ARTRETYCZNE
 NEWRALGICZNE
USUWA
 SZYBKO PRZEZ ZWYKŁE
 WCIERANIE
BALSAM BENGALSKI
 KARPIŃSKIEGO

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
 ROK XXXIII Nr. 1
 8. I. 1938

ŚWIĄTECZNE CHOINKI

*Warszawa na 19-tu placach przygotowała dla
 swych dzieci radosne, rozjarzone choinki
 (zdjęcie na prawo).*

*Ale i ośnieżona choinka w górach ma swój nie-
 przeparty urok
 (zdjęcie na dole).*



*W numerze poprzednim na kol. 3-ciej w re-
 cenzji z wystawy zdjęć fotograficznych „Pięk-
 no Warszawy” przez przeoczenie opuszczono
 podpis autora obu pięknych zdjęć:
 Stefan Plater-Zyberk.*

Kowalscy się odnaleźli

Kazano mi: odszukaj Kowalskich. Bagatela! Nie tak to łatwo nawiązać kontakt, który między ludźmi się przerwał... Czas długi przepłynął od rozstania. Ileż znaków szczególnych zmienionych, poszlak zatarzonych, wspomnień i przeczuć bez użytku! Dawniej piórko na kapelusiku Kowalskiej odkrywało mi ją w tłumie, zielony filc Kowalskiego rozpoznawałem pośród tysiąca innych, głos Pawła brzmiał w uszach, uśmiech Ireny w sercu. Ale kapelusza z piórkiem już nie ma i w autobusie sto razy odwracałem się za głosami, które bynajmniej nie należały do Kowalskich, chociaż dla mnie miały brzmienie ich życia.

Wytworzyła się sytuacja okropna: ja chodzę i szukam, a Kowalscy mnie tropią. Każdy tramwaj, gdy stoję na przystanku, jest pełen Kowalskich, ich oczy patrzą na mnie z wszystkich szyb, ze wszystkich ciemnych, nieprzenikniętych zaułków. Patrzą i triumfują: już nas nie znasz! już nie znasz! już nie nas nie łączy, nasz los się od ciebie wyzwolił!

Udręka. Tak dłużej być nie może... Łażę dziś od rana ze schodów na schody, nogi podę mną drżą, dzień powszedni zasłania mi święto, dzień powszedni majowy, tamten kiedyśmy się rozstali, — zasłania mi grudzień. Czuję Kowalskich za każdą ścianą; i nie mam odwagi zawołać „hokus pokus! czar się czaruje! to oni!!“

Jednak tu już stanę. Braknie sił iść dalej. Biletu wizytowego nie widzę... Słomianka inna... Ale te drzwi są mi czegoś przychylnie. Jakby miały w sobie ciepło znajomych rąk... Owszem... Gadają młodzi. On stroskany i ona czupurna. Pachnie tanim obiadem... A więc niech tam! „Czar się czaruje! Moi państwo — Kowalscy są z nami!“

— Jakże on się czuje, ptaszku? śpi?

— Bóg go raczy wiedzieć. Ciągłe się krzywi. I taki poważny. Ale śpi.

— A jadł?

— Jeszczeby też! Wcale nie daje sobie odebrać flaszki. Ma siłę.

— Pójdę zobaczyć...

— Nie chodź, Paweł, nie chodź, obudzisz... Mama nie pozwala.

— Niech Paweł sobie popatrzy. To tylko obce oko może być uroczone, od ojcowskiego spojrzenia nie dziecku nie ubędzie.

— Dobrze, mamo, ojciec, nie ojciec — drzwi tak samo skrzypią.

— No, więc Jerzunio popłacze chwilę i na nowo zaśnie.

— Dla zachcianki Pawła niech dziecko płacze, owszem!

— Czego się irytujesz, ptaszku? Ostatecznie chyba ja mam prawo raz na dzień zobaczyć moje dziecko!

— Twoje dziecko! Ale jak ja chciałam kąpać moje dziecko, to mama mi nie dała!

— Bo jak ty go, moja Irciu, zawsze tak napoisz mydlinami... Przecież to nie jest wskazane.



Marja Kuncewiczowa

— Jednak matki zawsze same kąpią! I jakoś dzieci żyją.

— Różne bywają matki.

— Więc ja jestem złą matką?! Tak? To chciała mama powiedzieć?

— Uspokój się, ptaszku. Proszę nie podnosić głosu.

— Wcale nie chciałam powiedzieć, że jesteś złą matką, tylko, że nie możesz być matką umiętną, skoro całe dni spędzasz poza domem.

— A poco spędzam?? Czy dla przyjemności? Na latankach? Tak?

— No, któż mówi, dziecinko? Mama przecież ciągle ubolewa, że się zamęczasz w tej pracowni!

— Ale jak tylko przez dwie niedziele się nie zamęczałam, to Dzidziusiowi zaraz się nie kupiło winogron!!

— Bez winogron też dziecko można wychować.

— A właśnie, że ja nie chcę, żeby mojemu dziecku czegoś brakowało! Nie życzę sobie. Jak mnie przez całe dzieciństwo paśli kartoflami, to memu dziecku należą się winogrona. Takie jest moje zdanie!

— Wątpię, moja Irciu, czy zaraz po urodzeniu już pasłaś się kartoflami...

— *Moje dziecko, moje dziecko!* Tak się wyrażasz, jakgdyby mnie wcale w tym domu nie było.

— Ty też powiedziałeś, że chcesz zobaczyć *twoje* dziecko. A właśnie to ono nie jest ani twoje, ani moje, tylko mamy.

— Co? W imię Ojca i Syna... Tego już za wiele.

— Tylko mama się nim rozporządza! I nawet on... tylko do mamy się śmieje. Wyraźnie.

— Co tam taki bąk dwumiesięczny może rozpoznać! Wydaje ci się.

— Wcale jej się nie wydaje: Jerzunio rzeczywiście uśmiecha się *do mnie*. Cóż w tym dziwnego? Dziecko jest jak zwierzątko — przywiązuje się do tego kto go karmi. A cóż to ja chciałam tych wszystkich flaszeczek? Zdaje się, że kiedy ty byłeś maleńki, mój synu, nikt żadnych Maltonów, żadnych klejów, ani soków, ani wodnistych mlek w ciebie nie pchał! I uśmiechałeś się *do mnie*.

— Mama dobrze wie, że Irenka, pracując w magazynie, nie może sama karmić małego.

— Więc, jeżeli nie może, niech nie ma *do mnie* o to pretensji! Ja się nie narzucam. Zadepeszowaliście wtenczas do mnie: „będzie dziecko, prosimy zamieszkać z nami“... Jak warjaci! Jakby taką rzecz można było załatwić depeszą! Trzydzieści dwa lata w jednej kamienicy. W białym welonie tam weszłam — w czarnym się pozostałam... Miasto rodzinne. Nieszpory w Marjackim kościele. Wspomnienia młode na Woli Justowskiej. Bóg wie ile kufrów! Biurka ojca do tej pory nie miałam śmiałości otworzyć, tylko tę szufladę, gdzie były kwity na asekurację. I ta Heniowa, co mi posługiwała dziewiętnaście lat akurat miała się przenieść na tę samą ulicę, bo córkę wydała za męża. I gołębie takie miałam, co mnie lubiły... I emeryturę przeprowadzać na inny adres!... Ach, co tu gadać. Trzydzieści dwa lata życia zlikwidować depeszą, dlatego, że u was będzie dziecko! I zrobiłam to. W miesiąc graty rozsprzedałam, wszystkie nici potargałam — ale gdzie nici!... — powrozy to były, w których całe życie skrepowana przeleżałam, a świat huczał zdala... Jednak przywykłam do tych powrozów — bałam się je przecinać, jakgdybym bez nich miała kaleką zostać. Poprzecinałam, zebrałam się, przyjechałam tu na starość nowe życie zacząć w obcym mieście, żeby *wam* służyć... I teraz... Ach, Pawlusi, jak gorzko!!

— Mamo! Mamo kochana! Niech się mama nie przejmie! Irka nie ze złości, ona naprawdę ma serce szlachetne. Czy mama wie? Ja dotąd nie mówiłam, bo to drażliwa rzecz... Czy mama wie kiedy ja się dowiedziałam, że ona jest w ciąży? W trzecim miesiącu pod koniec!!

— Paweł! Poco gadasz!! Wstydź się...

— Nie rozumiem. Tajemnica w takiej sprawie? Przed mężem? Nie powiem, żeby to było dobre.

— A było dobre, było! Bo ja wtenczas przechodziłam taki kryzys, wydawało mi się, że tutaj nie pracuję uczciwie podług sumienia, że się sprzeniewierzam ideałom młodości, wahałam się, czy niejechać na Polesie... I różne tam były między nami nieporozumienia.

— Chociaż tego nie mów!! Nie wolno.

— Nic, nic. Więc Polesie... Więc ona nie chciała w żadnym wypadku wpływać na moją decyzję, obciążać mnie myślą o dziecku... Żebym ja w spokoju sam zdecydował, jak się ma nasz los ułożyć. Chociaż

dla niej wyjazd na Polesie — to byłby cios. A jeszcze w ciąży. Rozumie mama? Nie każdaby tak zrobiła!

— Pawełczek... poco?

— Bardzo się to Irci chwali, że taka wytrwała, swoją drogą dziwię się takiej skrytości. Żeby mężowi nie powiedzieć? A cóż na tem Polesiu takiego strasznego? Nie trzeba tak zaraz tchórzyć.

— No, wie mama!! Jednak mama z kuframi bała się rozstać! Ładne tchórzeństwo, kiedy dziewczyni nie mają robić operację ślepej kiszki w trzecim miesiącu ciąży, a ta po rękach doktora całuje, żeby mężowi nie mówić jak sprawy stoją, bo mąż zażąda może, żeby płód spędzili ze strachu o *jej* życie... Jak mama mogła coś podobnego na Irkę!!

— Głupstwo, Paweł, nie przejmuj się, wcale mi nie jest przykro, czasami tylko myślę, że może głupia byłam... że najprościej było sobie jakoś poradzić, tak jak inne na każdym kroku sobie radzą. Niktby się wtedy na mnie nie gniewał.

— Czyby się nie gniewał, to już chyba ty sama najlepiej wiesz! Chyba pamiętasz, jakie były moje pierwsze słowa, kiedy nareszcie się przyznałaś! Nigdy nikomu tak nie dziękowałam w życiu. I wszystkie hamletyzmy djabli wzięli — zaczęliśmy żyć dla dziecka.

— Właśnie o to chodzi, żeby żyć dla dziecka, a nie dla swoich fochów. Ja chyba robię co mogę, podług mojej najlepszej woli i umiejętności. I nie mogę pozwolić, żeby dziecko mydliny piło!

— Proszę mamy, ale gdyby mama pozwoliła Irence parę razy wykąpać Jerzyka, to onaby się wprawiła i obesłoby się bez łkania mydlin.

— Poco? Ircia przychodzi z magazynu zmęczona i nie powinna wcale mieszać się do dziecka. Rozumiem kontrolować sługę, mnie chyba na ręce pa-trzeć nie potrzeba.

— Jakże ja nie mam się mieszać? A cóż to ja nie jestem matką, czy co? To pocóż ja to dziecko miałam, Jezus Marja?

— Dziecka się nie ma dla siebie, tylko dla ludzi. Tak. Zawczasu niech Ircia do tej myśli przywykła. Ja mojego Pawlusia chowałam rzeczywiście *sama*. Za pracą poza domem nie ubiegałam się. I Maltonów wtenczas nie znali. Skromniejsze może miałam wymagania, w jedwabiach nie chodziłam; no, nie wiem... Jednak Paweł, ledwie gimnazjum skończył, z matką się pożegnał... I teraz mówi, że Irci najgorzej dziękował w życiu. Słusznie, słusznie. Ja nie mam pretensji. Tylko, że do dziecka nie trzeba się zanadto przywiązywać.

— O, Boże jedyny, cóż za wieczór świąteczny, jedna becza, druga becza, nie powiem, żeby było wesoło to ognisko rodzinne!

Dziecko płacze!!

— Jerzyku, świerszczyku, co tobie?

— Pewnie dzieciątku mokro? Co? Zaraz babcia zrobi tu porządek z tą pieluchą, zaraz mój skarbie.

— Biedak, jaki spocony. Za ciepło go przykrywacie.

— Zostaw, Paweł, nie odkrywaj, zaziębisz.

— Może okno trochę otworzyć.

— Niech cię Bóg broni! Podaj mi Pawlusi, cecratkę.

— Mamo, czy mogę wziąć Jerzyka?

— No, dobrze, weź go, ja tymczasem wszystko zmienię, ale nie ciśnij go tak, weź pod krzyżyk, pod krzyżyk...

— Popatrz, Paweł, on zupełnie ma twoje brwi.

— Jeszcze mu sto razy wypełzną, nos ma twój.

— Mamo, czy dziecku brwi wypełzają kiedy?

— Brednie.

— Właśnie nigdy nie słyszałam, a nos, to mu się zmieni, będzie miał klasyczny, nie taką pyrkę, jak teraz. Wogóle Wisia mówi, że dzieci w tym wieku, to mają liszaje, ognipiór, są sine... A on — patrz — jak różyczka.

— Paweł od urodzenia miał śliczną cerę. Trzeba już kłaść dziecko, nie można go rozbawić, to jest jego pora snu, rano krzyczał, Irciu, proszę dziecko tutaj.

— Kiedy on uczepił się mojej bluzeczki...

— Ech, co za ceregiele. Chodź, raku.

— Idźcie sobie. Zgaście światło. Ja z nim posiedzę póki się nie uspi.

— No! Chwileczka spokoju. A możeby tak świeczki zapalić na choince?

— Ee... Cóż tam będę, jak głupia, świeczki sobie palić? Dzidziusiowi wczoraj zapaliłam, to pomrukał, pomrukał i nic. Na zimne ognie się rozwrzeszczał...

— W zeszłym roku Dziudziusia nie było i paliliśmy świeczki... Było bardzo przyjemnie. Pamiętasz?

— Owszem, pamiętam. Twoja matka wtenczas pierwszy raz zapytała o to okropne „potem“.

— Jakie „potem“?

— Co nam zostanie na potem, kiedy nasza najgorętsza miłość przeminie?...

— Prawda... Wtedy zaczął się twój niepokój. Ale teraz nie ma co nosa zwieszać! Mamy Jerzyka; no a z tem przemijaniem, jakże tam staruszka? Żle bardzo?

— Nie; pokaż-no, co ty tu masz na rżesie... Włosy anielskie! Bój się Boga, z aniołami nie flirtuj. Nie marszcz się. O tak... Lubie, kiedy brwi masz prosto, równiusieńko... I tak siedź. Wiesz co? Ukręć kogel mogel. Od wilji zostało trochę likieru, to domieszam. Zrobimy sobie bal!! I wiesz co? Wydlub te migdały z placka i pokrój, dodam je, zrobi się taki krem, że palce liżać!

— Z którego placka? Z tego? świetnie!! Nie, nie trzeba mi noża, mam scyzoryk. Skąd wzięłaś jajka? Z szafki pod oknem? Znakomicie.

— Cicho, moi drodzy, Jerzunio usnął. Powinien teraz pospać z godzinkę, a potem kąpiel i dostanie flaszczkę. W kuchni napalone, można go będzie zostawić trochę nago, niech pobryka. Ale glicerofosfat mu się skończył, jutro trzeba kupić nowy. (Pauza). A co ty robisz, Pawlusi?

— Migdały wydlubuję z placka, robimy z Irką świetny krem.

— Migdały z placka do kremu? Ależ ten placek do niczego nie będzie podobny! Jutro wieczór spodziewacie się gości...

— To nic, to nic, mamo, ja te dziurki cukrem zasypię.

— Dziurki cukrem? Jakże to będzie wyglądało? Ostatecznie, jak się chce ludzi przyjmować, nie można narażać się na śmieszność.

— To są starzy przyjaciele, koleżanka Irki z mężem, oni się nie zgorszą.

— No, dobrze, ale ten placek dużo pracy kosztował... Ja przy nim migreny dostałam. Nie po to się coś robi, żeby potem psuć. Szkoda, że Ircia nie kazała ci z kupnych pączków powyciągać konfitur, tylko akurat migdały z *mego* placka!...

— Oj, proszę mamy, bo właśnie chodziło o migdały.

— No, jak tam twój kogiel? Gęstnieje?

— A z jakich to jajek Ircia te żółtka ubija?

— Z tych, co były pod oknem.

— Tak? Więc coś pojutrze będzie na śniadanie? Te jajka były odłożone na śniadanie dla was. O ile wiem, Paweł ma pojutrze przed południem próbę szopki w świetlicy. Pójdzie na głodno.

— Ach, nie, kupi się szynki.

— Oczywiście.

— Jak się ma dziecko, to nie wolno tak gospodarować! Wyrzucać jajka a na to miejsce kupować szynkę. Jak się ma dziecko, to każdy grosz musi być policzony. Skądżeż możecie wiedzieć, czy Jerzunio w nocy nie obudzi się z gorączką? Szkarlatyna, dyfteryt, Bóg wie co. Jeżeli się pieniądze będzie wyrzucało na zachcianki, to potem na lekarstwo zabraknie. Dziwię się, że takie rzeczy trzeba mówić osobom chyba już dojrzałym. (Pauza). Zobaczą, czy woda nie kipi na kąpiel Jerzunia.

— Cóż tam nasz kremik?

— Rzeczywiście; durne pomysły... Masz, zjedz.

— Na połowę, po sprawiedliwości.

— Nie, mnie się teraz nie chce. Jutro rano zjem sobie.

— Sam nie będę jadł.

— To odstaw do szafki pod okno. Ale nie gwizdź, proszę cię, dziecko śpi. (Pauza). Paweł... Z tym koglem, to niech tam! Ale ja ciebie o jedno bardzo proszę... Niech mama pozwala mi kąpać małego. Przecież ja w magazynie naprawdę pracuję nie dla fochów... Przecież ja mam chyba prawo go kąpać, no, nie?

— Ależ masz, masz, mój biedny ptaszku... Już my tę kąpiel sobie wywojujemy.

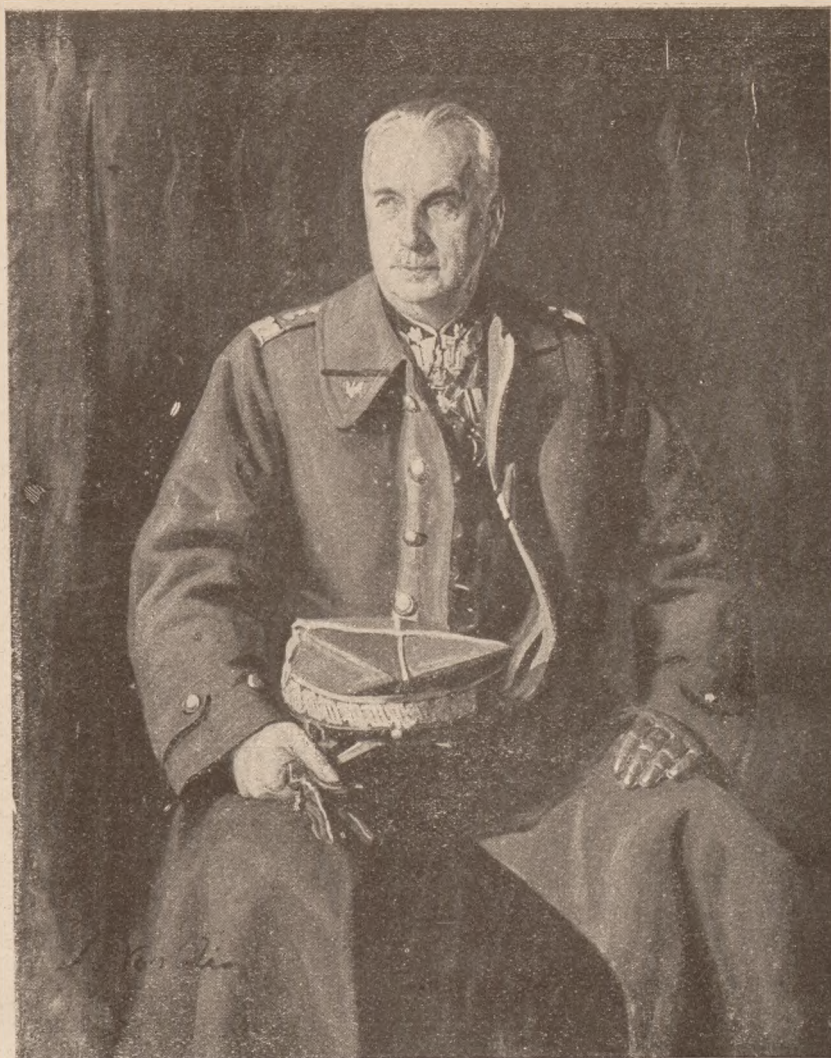
— Bo jeżeli on nie nauczy się do mnie uśmiechać, to i „mama“ nie zechce powiedzieć... Dziecko jednej krojczyni wszystko mówiło: i „baba“ i „niania“ i „lala“ — a „mama“ wcale nie mówiło. A czyż to sprawiedliwie? Sam pomyśl. Przecież wózek to ja jemu kupiłam. (Pauza). I wiesz dlaczego jeszcze ono powinno, ono *musi* mnie kochać? Bo ono ma twoje brwi. I oczy. To pewnie i serce ma twoje.

Znalazłem. Ludzie, ludzie, naprawdę znalazłem!! Polesie, ślepa kiszka, mama z Krakowa, magazyn, ptaszek, Pawełeczku — dwóch takich par niema w Warszawie! Ci sami, co nie mogli znieść kapuścianych balów Sklepicyńskiej za ścianą. Ci sami, którzy na Żoliborzu dumni z samotności, mieszkali pod gwiazdą. Spotykam ich dzisiaj, kiedy nad całym światem stoi wielka gwiazda Narodzin... Rajskie gwiazdy poblady — gwiazdy kochanków biblijne i żoliborskie. Kowalscy znowu w śródmieściu na kuchennych schodach. A nad kominami trzepoczą się maleńkie blade gwiazdki — gwiazdy noworodków.

SALON „ZACHĘTY”

Jest coś bezgranicznie przygnębiającego w każdym t. zw. „Salonie” — czy to będzie w IPS-ie czy w „Zachęcie”, w Rzymie, Paryżu czy Londynie. Potop obrazów zalewa widza. Ilość wystawiających ogromna, ilość dzieł poszczególnych artystów znikoma, wszystko stłoczone ponad miarę — oto wystarczające powody, aby prawdziwy miłośnik sztuki zgłaszał wobec wszelkich tego rodzaju imprez swe zniechęcone *désintéressement*. Bo czemu się tu interesować, kiedy jest tego za dużo — a poziom ogólny, jak w każdym tłoku — przeważnie nieciekawcy?

Na salonie obecnym w Zachęcie wystawia 236 artystów, dając 336 dzieł! Przeciętnie, jak widzimy, nie wypada nawet półtora dzieła na głowę... Rozumie się, że wystawić więcej nie było można — i tak już obrazy cisną się w sposób niedopuszczalny, rozmieszczone są za blisko siebie, co nie pozwala w skupieniu oglądać każdego oddzielnie: zawsze w pole widzenia wdziera się natrętny sąsiad — niezawsze dostatecznie z sąsiadem szarmonizowany. Winić o to „Zachęte” trudno — cóż na to poradzić, że istnieje u nas tragiczna nadprodukcja artystyczna (mówi się o ilości,



Stefan Norblin

Portret gen. K. Sosnkowskiego (olej)
[Dyplom Honorowy „Zachęty”]



Julia Keilowa Portret E. Barszczewskiej
(rzeźba w drzewie)
(zaszczytne wyróżnienie)

oczywiście) — i że każdy artysta chce przynajmniej raz na rok pokazać się na wspólnej wystawie?

Zarzuciłoby jednak można niedość staranną selekcję — skutkiem czego dostało się na Salon wiele dzieł (zwłaszcza z zakresu malarstwa), które mogły spokojnie pozostać w pracowniach. Poziom wystawy i ogólne wrażenie byłoby wtedy lepsze.

Wśród prac zasługujących na uwagę wymienić przedewszystkiem należy „Akademię” Wojciecha Weissa, malowaną w złocistych tycjanowskich tonach i z tycjanowską miękkością. Po niezawsze szczęśliwych próbach z lat poprzednich, tym razem stary mistrz pokazał lwi pazur. Stanisław Czajkowski dał soczyście zielony, pełen świeżości pejzaż nadnarwiański; Marjan Konarski ciekawie ujęty kolorystycznie i kompozycyjnie pejzaż jesienny, posiadający wyraźny sens malarski: nie jest to fotografia, ale natura interpretowana, rzeczywistość widziana i prze-

tworzona przez pryzmat wrażliwości artystycznej; Michała Rouby „Wierzby nad Trockiem jeziorem” malowane są z dużym poczuciem koloru, w tonach ściszonych, gobelinowych; „Młoda Marokanka” Adama Styki aż się prosi na etykietkę na pudełku papierosów. Miałyby rzetelne powodzenie, zwłaszcza u starszych panów.

Wśród istniej powodzi portretów wyróżnia się Stefan Norblin, zwłaszcza spokojny, poważny portret gen. Sosnkowskiego.

Rzeźba obelana jest tym razem liczniej niż zwykle, co witamy z radością. Mocną głowę rektora Becka wystawia Alfons Karny; Julja Keilowa dała dziewczęcą postać E. Barszczewskiej, rzeźbioną w drzewie; Konstanty Laszczka trzy dzieła na wysokim poziomie techniki. Grafika tym razem przedstawia się skromniej niż zwykle.

Z. Norblin Chrzanowska.

Książkowe Premja

„ŚWIATA”

Jednocześnie z niniejszym numerem rozsyłamy naszym prenumeratorom premja książkowe za dwa miesiące, mianowicie dwa tomy ciekawej powieści o kobiecie nowoczesnej

„KOBIEТЫ MUSZA PRACOWAĆ”

RYSZARDA ALDINGTONA



Alfons Karny Rektor U. J. K. dr. Adolf Beck
Nagroda Ministra W. R. i. O. P.



Paweł Steller

Lirnik z Krzemieńca



Stanisław Kuglin

Krzemieńskie domki

FLORESTAN I KLUCZE^{*)}

ROZDZIAŁ I.

Jak się powinno kochać

Latem nie wyjeżdżam na willegjaturę. Góry, albo morze: nienawidzę gór. Kocham morze miłością wielką i niepodzielną i wierzę, a przynajmniej się ludzę, że morze tę miłość odwzajemnia.

Dlatego nie chcę, aby mogło uważać moje przybycie za gest zwykły i pospolity, który robią tysiące ludzi obojętnych. Nie pozwalam, aby morze mogło mnie utożsamiać z nimi, moją miłość z ich kaprysem. Nie ścierpię, aby podejrzewało, że jest dla mnie właśnie tylko — willegjaturą.

Oceanograf mógłby mi zarzucić, że morze nic nie myśli i nie czuje.

Przypuśćmy, że tak jest, aby się nie zaplątywać w niepotrzebne dyskusje. Przypuśćmy, że moja osoba jest obojętna i duszy i zmysłom morza; że ono nawet nie posiada duszy ani zmysłów. Cóż z tego? Ja, ja sam nie powinienem nadawać mojemu gestowi miłości takich form, jakie mieszczańskie tradycje narzuciły gestom płochości lub higieny, bardzo od miłości różnym. Ja, ja sam jadąc nad morze w lipcu albo sierpniu, byłbym narażony na to, że w jakiejś chwili osłabionego napięcia uczuciowego poczułbym się może letnikiem, zamiast się czuć wielbicielem.

Ta moja powściągliwość nie jest rzeczą rzadką, chyba może w tem specjalnem zastosowaniu do willegjatury. W swojej istocie zasadniczej jest to uczucie znane i powszechne. Ono właśnie jest powodem, dla którego naogół mężczyźni nie żenią się ze swojemi kochankami.

Kobietom, któreby tego mogły potrzebować, ofiarowuję tę pocieszącą interpretację. Mężczyznom, którzyby nie potrafili sami tego wymyśleć, ofiarowuję to usprawiedliwienie, pełne głębokiej czułości.

ROZDZIAŁ II.

Sytuacja

Wszystko, co się rzekło w rozdziale poprzednim wyjaśnia dostatecznie, dlaczego 28 sierpnia owego roku znajdowałem się w Medjolanie.

Nie uważam, aby potrzebne były długie opowiadania dla usprawiedliwienia, czemu tego wieczoru spacerowałem po ulicy Principe Umberto. Zegar uliczny na Porta Nuova wskazywał godzinę jedenastą, co pozwalało podejrzewać, że musiało być trochę przed albo trochę po tej godzinie. Nadchodzi Florestan z miną szaleńca zaafektowaną, i chwytając mnie za ramię, bez zatrzymywania się powiada:

— Ty, który nic nie masz do roboty, chodź ze mną na stację. Przyjeżdża Bartoletti.

Odpowiedziałem mu:

^{*)} Ze zbioru opowiadań „La vita intensa“.

ROZDZIAŁ III.

Pierwsza część mojej odpowiedzi

— Przedewszystkiem jest możliwe, a nawet oczywiste, że w tej chwili nie mam nic do roboty; ale nie pozwalam, abyś to uważał za rzecz naturalną. Gorzej: ton twojego głosu najminimalnie nawet nie zaznaczał słusznego i właściwego „w tej chwili“. Nie. Zawołałeś na mnie „ty, który nie masz nic do roboty“, tak jak kto inny byłby na mnie zawołał „Massimo“, albo ktoś trzeci powiedziałby mi „Ekscelencjo“, gdybym był ministrem. Jednem słowem, twoje „ty, który nie masz do roboty“ było odezwaniem określającym moją osobę, a nie moje położenie chwilowe. A to jest niesłuszne i dla mnie obraźliwe; co z kolei rzeczy nie pozwala mi towarzyszyć ci na stację, bo jest to naogół czyn, który za sobą pociąga pewne życzliwe wzajemne zrozumienie. Które ty tem swoim odezwaniem nieopatrznie zniszczyłeś czy przerwałeś.

ROZDZIAŁ IV.

Druga część mojej odpowiedzi

— Po drugie — powiem ci, że nie tylko odmawiam towarzyszenia ci na stację, ale mam zamiar i tobie gwałtownie odradzać to pójście. Pewne celtyckie poematki powiedziało kiedyś, że *partir c'est mourir un peu*, zdanie niezmiernie głupie, które skutkiem tego zrobiło karierę w miliardach albumów, wachlarzy, pocztówek i listów miłosnych: ale ty właśnie nadajesz się w sam raz, żeby w nie uwierzyć; jednak w takim razie musisz przyznać — uważaj dobrze na moją żelazną konsekwencję — że jeśli *partir c'est mourir un peu*, to ponieważ przyjazd jest przeciwieństwem odjazdu — logicznie *arriver c'est naître un peu*; czyli, że pójść oglądać czyjś przyjazd, to trochę jakby asystować przy jego narodzeniu: ma to w sobie coś z pomocy położniczej. A obraz ten jest tak mało zachęcający, że wystarcza aby wzbudzić nieprzeparty wstręt do spełnienia tego, co mogło ów obraz wywołać. Przy okazji mógłbym ci przypomnieć parę innych często używanych obrazów w tym rodzaju, będących nieomylnem świadectwem powszechnego złego smaku: na przykład „odejmować sobie od ust“ albo „usiąść komuś na głowie“ — z których pierwszy oznacza gest hojnej życzliwości, a drugi gest bezczelności zuchwalej. Sama myśl o tych popularnych powiedzeniach wystarcza, aby żaden człowiek wytworny nie mógł już nigdy w życiu zdobyć się ani na hojność, ani na bezczelność w stosunku do swego bliźniego.

ROZDZIAŁ V.

Początek trzeciej części mojej odpowiedzi

— To wszystko mówię sobie tylko tak ogólnie, o chodzeniu na stację dla asystowania przy czyimś przyjeździe. Ale w twoim wypadku jest jeszcze coś gorszego. Ty wybierasz się na stację, żeby zobaczyć przyjeżdżającego Baricolettiego...

ROZDZIAŁ VI.

Przerwa

Florestan przerwał mi w tej chwili i poprawił:
— Bartolettiego.

ROZDZIAŁ VII.

Dalszy ciąg i koniec trzeciej i ostatniej części mojej odpowiedzi

— Wszystko jedno. Ty wybierasz się na stację, żeby zobaczyć przyjeżdżającego Bartolettiego, który jest oczywiście twoim znajomym albo przyjacielem. Wydaje ci się, że zaznaczasz wobec niego w pierwszym wypadku swoją uprzejmość, w drugim wypadku — życzliwość. Tymczasem popełniasz wobec niego najgorsze grubiaństwo, jakie sobie wogóle można wyobrazić.

Pójść po kogoś na stację, to znaczy zgwałcić jego wolność. Ten gwałt w jego ohydzie porównać można tylko z tym, który popełnia współbiedziak, czekając na ciebie z jedzeniem. Obiad jest już gotów, a ty się spóźniasz: wówczas jego oczekiwanie staje się złe maskowaniem, gniewnym i obelżywym wyrzutem, skierowanym w twoją stronę. Idąc na stację po kogoś kto wraca z podróży koleją, upokarzasz go, bo go widzisz w chwili, kiedy jest brudny, zakurzony, zniecierpliwiony, zmęczony, rozczochrany — wogóle w najgorszej kondycji ciała, umysłu, ducha i formy.

Ta chwila, którą on straci, żeby się z tobą przywitać, była może jedyną, w której byłby mógł schwytać w locie opornego tragarza albo uciekającą dorożkę, poczem z twojej winy będzie musiał iść do domu pieszo, dźwigając własnoręcznie swe walizy.

W chwili, kiedy człowiek jest najmniej usposobiony do pobłażliwej dobroci wobec swoich bliźnich — zmuszasz go do uprzejmości wobec ciebie, bo przecież musi odpowiedzieć na objaw twojej widocznej, choć źle pojętej grzeczności. Ale spełniając ten obowiązek człowiek ten (dla wyżej wymienionych powodów) wyśle cię w duszy do wszystkich djabłów: staniesz się przeto dla niego powodem postępowania obłudnego, a jest to rzecz człowiekowi niemiła, zwłaszcza jeśli mu ta obłuda nie przynosi żadnego widocznego zysku.

Jest jeszcze coś gorszego. Ty wybierasz się na stację po Bartolettiego, ponieważ ci się zdaje, że jesteś dla niego kimś bliskim. Nie. Byłeś kimś bliskim dla Bartolettiego, który wyjeżdżał. Ale nie dla tego, który wraca. Podróżować — znaczy odradzać się, zanurzać się w kąpiel rzeczy niezwykłych i nieprzewidywanych, które wywołują Bóg wie jakie reakcje w najgłębszych pokładach twojej istoty. Podróżować, to znaczy narażać się na możliwość zmian tak szybkich i nieoczekiwanych, że dla nowego Bartolettiego ty możesz być dzisiaj równie obojętny, jak dawniej byłeś mu bliski, a on tobie.

A gdybyś ty, stworzenie raczej wulgarne, nie zechciał mi przyznać tej możliwości poniekąd wzniosłej i głębokiej, gdyby zdawała ci się ona daleka od prawdopodobieństwa, to pomyśl przynajmniej o innej ewentualności, dość zwykłej i bardzo rozpowszechnionej: że oto Bartoletti, wracając koleją — spotkał tak zwaną *przygodę w podróży*, tę przygodę wagonową, którą każdy, każdy na świecie — (oprócz mnie, wyznaję to ze wstydem, mnie, który jeszcze na nią czekam, choć może napróżno) — każdy na świecie, jak twierdzą kompetentni, spotkał przynajmniej raz

w życiu. W takim wypadku Bartoletti wysiada z wagonu wraz z Piękną Nieznajomą; starają się zniknąć w bezimiennym tłumie i w sposób niewidoczny przedostać się najpierw do zamaskowanego schronienia dorożki czy taksówki, a potem do schronienia już nie maskowanego: hotelowego pokoju, albo jego własnego mieszkania, a może jej mieszkania, jeżeli właśnie jest wolne. A ty, jak grubijanin, chcesz stanąć przed nimi oko w oko, zgwałcić ich tajemnicę, zniszczyć czar tej ich samotności w tłumie. I może Piękna Nieznajoma, lekliwa i nieufna jak wszystkie kobiety ogarnięte nagłą miłością, nie będzie już wogóle chciała znać Bartolettiego i odejdzie, zostawiając was samych: jego zalewającego cię potopem zbędnych wyrzutów, ciebie upokorzonego równie zbędnymi a spóźnionymi ubolewaniami.

Te oto są najważniejsze powody wśród wielu innych, dla których zdecydowanie ci odradzam chodzenie na stację — zarówno po Bartolettiego w szczególności, jak po kogokolwiek wogóle. A jeśli mimo wszystko uprzesz się i pójdziesz, oznajmiam ci w sposób kategoryczny, że ci towarzyszyć nie będę.

Tak rozprawiając, przyszliśmy właśnie na stację.

ROZDZIAŁ VIII.

Opisowy ale ważny

Po tamtej stronie wyjścia widać już było groźną pierwszą falę przyjezdnych: tłum gęstości niejednolitej, ciemny, tu i ówdzie nieporządnie poplamiony żywymi kolorami, i cały zatłuszczony. Gdzieś tam wystawały istoty o wyglądzie prawie ludzkim.

Podszedłem bliżej, aby im się przyjrzeć: śliska mieszanina kipiąc wznosiła się coraz wyżej z czeluści klatki schodowej, kłębiła się koło furtek ogrodzenia, przeciskała się przez nie, i po tej stronie znów gęstniała, nacierając z impetem na wysokie drzwi ku wyjściu; wydostając się na dwór zaczynała się rozrzucać — tragiczne ciasto ludzkie tu i ówdzie oplute błędnymi światłami lamp, którym się nie udawało utrzymać placu w ciemnościach, ponura błotnista masa mieszana długimi kijami cieni, rzucanych przez uliczne latarnie. W miarę oddalania się od zdobytych drzwi cała ta ludzkość porysowana beztróskimi arabeskami tramwai, smagana rozpędzonymi strzałami samochodów, rozsypywała się jak poruszone mrowisko ku romantycznym ciemnościom ogrodu, ku krętym czeluściom ulic i rozbestwionym jasnościom dwóch rzędów hoteli, które stanowią kulisy tej okrutnej dekoracji scenicznej.

Ta masa prawie ludzka nie miała głosu jednolitego, ale mówiła jakąś mieszaniną historycznych bulgotów, astmatycznych sapnięć, zziębniętych jęków, urywków krzyku i gwizdnięć, jak kłębowisko żmij splecionych aktem miłosnym pośród kolczastych krzaków egzotycznego kaktusa: taki był wrzaskliwy hymn życia intensywnego, wznoszony przez ludzi ku spadającym gwiazdom sierpniowym.

Pierwszym dźwiękiem artykułowanym, jaki odróżniłem w tem zamieszaniu, był koło mnie głos Florestana, który z niepokojem pytał jakąś istotę ludzką:

— Czy to był pociąg z Bolonji?

— Nie, ten był z Genui: pociąg z Bolonji właśnie nadchodzi.

— Oddycham — powiedział Florestan.

ROZDZIAŁ IX.

Podobny Bogu

Odetchnąwszy, Florestan zwrócił się ku mnie i odezwał się w te słowa:

— Ja zostanę tu, przy lewem wejściu. Ty pójdziesz na tamtą stronę, do prawego. Musi oczywiście przejść albo tędy albo tamtędy. Pierwszy z nas, który zobaczy Bartoletti, zawoła drugiego. Tylko się nie rozprasza i patrz uważnie.

Wsunąłem się w nowy tłum, wychodzący przez prawe drzwi, i podniecony zaufaniem i poleceniami Florestana zacząłem z niesłychaną dokładnością obserwować przyjezdnych. Stałem mocno na obu nogach, nieco je rozstawiwszy, żeby mnie fala ludzka nie przewróciła. W ten sposób moje ciało stanowiło jakby niezłomną skałę, o którą nurt rozbijał się, rozdzielał na chwilę na dwa strumienie, które okręgały mnie szorstko i zaraz się za mną łączyły, płynąc ku swoim przeznaczeniom.

Ale ja się nie oglądałem za siebie, ani się nie troszczyłem o ich przeznaczenie: patrzałem przed siebie z ogromną skoncentrowaną uwagą, badając wszystkie twarze pod czapkami, kapeluszami i rondami słomkowymi wszelkich fasonów.

Lepka masa ludzka, którą przed chwilą podziwiałem w jej jednolitości, teraz rozczłonkowała mi się na jednostki i jednosteczki, w nieustannym ruchu wyodrębniania. Zdawało mi się, że to właśnie ja swoim wzrokiem stwarzam te odrębności plastyczne; i dlatego zdawało mi się, że jestem podobny Bogu; pomyślałem, że i Bóg prawdopodobnie urabia taką nieforemną masę, stłoczoną u bram tego świata, i samym swoim wzrokiem — patrząc na nią ale jej nie dotykając — modeluje z niej i wydobywa istoty całe, poszczególne i zindywidualizowane. Ale może tak nie jest. W każdym razie Bóg stwarza te istoty bez walizek, pleców, koszyków, parasoli i pudeł do kapeluszy; te rzeczy zrobiły już one same, z pomocą inteligencji danej im przez Boga przy wyjściu z Wielkiej Stacji. Mnie natomiast zdawało się, że ośrodkami życia i inteligencji tej masy były właśnie walizki i koszyki, które zbliżały się i potraçały, pociągając za sobą za pomocą zaciśniętej pięści i wyciągniętego ramienia, które od pięści szło w górę — mężczyznę lub kobietę.

Ale ja nie dbałem o pudła do kapeluszy, kosze ani walizki, jakiegokolwiek były kształtu i jakości; przyglądałem się zato uważnie mężczyznom i kobietom czy kto z nich nie jest przypadkiem Bartoletti; nikt z wychodzących przez prawe drzwi powierzony mojej czujności — nikt, przysięgam, nie uszedł memu wzrokowi twórcy i sędziego. Stworzywszy ich i osądziwszy — wzrok mój pozostawiał ich kolejno własnemu ich losowi. Powiadają, że i Bóg tak robi. A oni kuszytkali dalej, ochrypli i zziębnięci, drogą, która poprzez próby przeznaczenia wiodła ich do piekieł, do czyśćców i do rajów Medjolanu, miasta pełnego życia.

I tak ciągnęły dalej kobiety, dzieci, mężczyźni i pudła do kapeluszy wszelkiej płci. A Bartoletti nie było. Przy niektórych zderzeniach pryskały kłótnie iskry, ale szybkie i krótkotrwałe, a incydenty nie rozwijały się dalej, bo ważne incydenty zdarzają się tylko między osobami, które mają dużo czasu do stracenia. Tysiąc wyglądów manjackich, dwa tysiące szerego otwartych spojrzeń rzucało się ku szyderczemu marzeniu o wolnej dorożce, albo ku abstrakcji, jaką na stacjach bywa tragarz. Ale Bartoletti nie widziałem. Dostrzegłem jeszcze mamkę z dzieckiem na ręku, psa, starą kobietę, która dłużyła w nosie. Więcej nie było nikogo. Zbliżył się do mnie Florestan:

- Nie widziałeś go?
- Nie.
- Ale pewien jesteś żeś uważnie patrzył?
- Za kogo mnie masz?

ROZDZIAŁ X.

Droga powrotna

Powoli i ze smutkiem skierowaliśmy się ku drodze powrotnej.

— Nic nie rozumiem — mówił Florestan — i nie wiem, co mam robić. Bartoletti wyjeżdżając zostawił mi klucze od swego mieszkania. O, patrz...

Wyjął dwa klucze nawleczone na kółko. Jeden był mały, płaski, angielski, drugi gruby, z wieloma wyłobieniami, amerykański. Pierwszy był świecący, drugi czarny.

— To właśnie — powtórzył — są klucze od mieszkania Bartoletti.

— Ładne.

— Wyjechał z Riccione dzisiaj rano. Z Bolonji ze stacji telegrafował do mnie, o, widzisz... „*Przyjeżdżam 23.30, przyjdź stację koniecznie kluczami. Bartoletti*“. Widzisz: to jest telegram od Bartoletti.

— Ładny.

— On jest człowiekiem dokładnym i punktualnym aż do tragizmu. Gdyby się był w Bolonji spóźnił na pociąg, byłby mi przysłał drugi telegram. Ale jest wogóle rzeczą niemożliwą, żeby się Bartoletti kiedykolwiek spóźnił na pociąg.

Długa pauza towarzyszyła naszemu smutkowi, aż przeszliśmy cały tunel.

— A jednak — zaczął znów z uporem Florestan — jakieś przecucie mi mówi, że Bartoletti przyjechał.

Ni stąd ni zowąd ja również usłyszałem jakiś głos tajemniczy, krzyczący mi, że Bartoletti przyjechał. Ogarnęła mnie pewność, że Bartoletti przyjechał. Poczułem w sobie najdokładniej obecność całego miasta Medjolanu w tej chwili i właśnie w tym Medjolanie, który czułem w moich żyłach, był i Bartoletti.

Nie wiem czemu — wrażenie to było mi rozpaczliwie miłe. Natomiast Florestan, który jest człowiekiem przyziemnym, nalegał:

— A jednak widziałem ich przecież wszystkich po kolei, wszystkich, którzy tędy przechodzili. A ty, przyznaj się, czy jesteś pewien, żeś im się dokładnie przyglądał?

— Dobrze sobie! każdemu po kolei! i zapewniam cię... ach!

To „ach!“ było wykrzyknikiem. I rzucając to „ach“ poczułem, że błędę. Drżącymi rękami dotknąłem bladej na własnej twarzy. W oczach zdumionego Florestana zachwiałem się i oparłem o narożnik Hotelu du Parc, aby nie upaść. Spojrzałem Florestanowi w oczy i zrozumiałem, że mimo najbardziej wytężonej woli ludzkiej — to co nieuniknione stać się musi na świecie, i że pomimo najprzezorniejszego starania rzeczy niezbadane mają wiecznie całkowitą swoją władzę nad ludźmi. Ale jednocześnie poczułem z goryczą, że ani to, co nieuniknione, ani to, co niezbadane nigdy mnie nie usprawiedliwi w oczach Florestana, człowieka zwyczajnego. I czując to wszystko pogrążyłem się w niemy smutek, i patrzałem na niego, który już drżał z obawy na mój widok. Patrzałem na niego z rozpaczliwą rezygnacją rzeczy dokonanych, bez możliwości zaradzenia i odpokutowania.

Bo właśnie w tej chwili, dopiero w tej chwili przypomniałem sobie, że żadnego Bartoletti nigdy w życiu nie znałem i nie widziałem.

P O Ł Ó W

Obrotna panna Dervieux

Znana śpiewaczka operowa panna Dervieux wzbudziła gorącą miłość w pewnym skromnym prowincjonalistcie. Gorące deklaracje zakochanego rozbiły się jak o skałę o obojętność artystki. Pewnego dnia nieszczęśliwy adorator przedostał się za kulisy do loży artystki i, rzuciwszy się na kolana, zawołał: „Niech się pani zlituje, odrobinkę miłosierdzia, choć okruczeństwa miłości!”

Ale nieubłagana artystka z kamiennym spokojem odparła: — To niemożliwe, drogi panie, mam już swoich ubogich.

Uproszczenia... parlamentarne

Senat dyskutował. Komisja prawnicza senatu wypowiadała się i sądy przysięgłych znikły. Ciekawy moment w tej dyskusji stanowiła nieobecność senatora Patka.

Stanisław Patek na poprzedniej sesji przeciwstawił się zniesieniu sądów przysięgłych. Dawny i wybitny obrońca polityczny znał i doceniał społeczną wagę sądów przysięgłych. Miał on też i odpowiednio przekonujące argumenty — widocznie dość ważne, skoro przechyliły opinię senatu.

Sprawa wróciła. Debaty wznowiono. Patek milczał! Dlaczego. Ot prosto — system prostoliniowości i uproszczeń parlamentarnych został zastosowany do zdecydowanego i śmiałego oponenta.

Oponenta Patka skreślono z listy członków senackiej komisji prawniczej. W nieskomplikowany sposób ułatwiono mu... milczenie.

Przewodniczącym komisji senackiej jest sen. Wacław Makowski, były uczeń, współpracownik i towarzyszy walk sen. Patka.

„Uczeń czarnoksiężnika“ Duca sa wyprawia w orkiestrze przedziwne brewerje, tańczą mu szafy, miotły, sufity, stare beczki beczą metalicznym głosem. Waltornie ryczą — oboje wychodzą! „Czarnoksiężnik“ wielu procesów politycznych Stanisław Patek miał uchnięcia, co do brewerji nie miał skłonności. Prosto zamknął drzwi.

Bo podobno przewodniczący komisji miał decydujący wpływ na



powoływanie senatorów do komisji prawniczej. Nie chce nam się w to wierzyć.

Owoc rewolucji

Księżna Birou, siedząc w loży na galowym przedstawieniu komedji francuskiej, z zachwytem przysłuchiwała się Iphigenji Racine'a. Był to rok 1700 i już nastroje rewolucyjne można było zaobserwować w masach. Nagle z galerji padły okrzyki przeciw arystokracji. Powstał mały tumult i niespodziewanie jakieś jabłko zamienione w pocisk trafiło księżnę w głowę. Najutrz poszkodowana księżna przesłała je Lafayette'owi, załączając bilecik: „zechce pan przyjąć ode mnie pierwszy owoc rewolucji“.

„La Serenissima“ broni się

Motoryzacja wdarła się pod pałac Dożów. Postęp zmotoryzować zapragnął gondole co pod tajemniczym „Ponte dei Sospiri“ przepływają przy akompaniamencie śpiewu gondoljera. Dziś i przy Cad'Oro i przy pomniku Colleoni miały warczeć motory. Ale „la serenissima“ oparła się. La serenissima ceni tradycję. Zna urok ciszy i mroku swych kanałów. Zna urok tego płynącego po wodzie i odbijającego się od murów ostrzegawczego „o-e!“ gondoljerów. Więc prefekt Wenecji wydał zakaz wprowadzania zmotoryzowanych gondol, stwierdzając, że to jest „zamacz na odwieczne tradycje“ Wenecji.

Motor nie spłoszy więc serc zakochanych rozmarzonych w czarnej

P E R E Ł

gondoli i przy plusku wiosł, pieśni, mandolinie, lub dyskretnym milczeniu gondoljera, wymieniających pocałunki i uśmiechy.

Pasażer z Azji

W pociągu podmiejskim, idącym do Milanówka siedmiu pasażerów bez biletu usiłowało wyrzucić z pędzącego pociągu konduktora. Przewodził tym mołojcom mieszkanię Piastowa Jan Szkiel. Konduktor ocalał dzięki obronie innych pasażerów i zatrzymaniu pociągu. Sześciu gierojów zbiegło. Aresztowano tylko Szkiela. Siedzi w więzieniu. Nie jesteśmy krwiożerczy, ale takiego azjaty i opryszka, co dla paru złotych (7 biletów) chciał pokaleczyć lub zamordować w biały dzień państwowego funkcjonariusza, winno się poprostu odesłać do Azji. U bolszewików mógłby wszystko zrobić na gapę. Tam wszystko jest darmo: koleje, prysznic, podróże, teatry, nawet śmierć jest za darmo, na gapę, bez biletu!

Odstawić Szkiela darmo do granicy — niech się doskonalą w azjatyckich sposobach życia.

To też sport

Czytałem niedawno taki opis... wolnej walki. Dwaj wspaniali rzucił się na siebie. Stosowali z zapalem wykręcanie ramion, klucze, krawaty, bolesne masaże. Nagle jeden z nich wydał okropny krzyk bólu. Nie wytrzymał. Łzy ciekły mu po twarzy. Wyniesiono go na noszach. Olbrzym miał wywichniętą nogę. To też podobno sport! I to z tych męskich sportów! Dwóch olbrzymich gigantów wykręca sobie członki i łamie kości. Nazywa się to walka. Decyduje o wyniku gnat, który się mniej łatwo łamie. Ma to świadczyć o wzmagającej się tężyznie. A może to tylko super-bałwanstwo?

Obywatel Zero.



Wnętrze wiejskiej chaty w Bułgarii

W ostatniej chwili zdecydowałem się na zmianę trasy mojej podróży. Zamiast więc lądem — udałem się do Bułgarii na pokładzie małego statku, odchodzącego z Wiednia w piękny, słoneczny poranek jesienny. Muszę tu od razu zaznaczyć, że jesień „austriacka” różni się znacznie od naszej, kiedy się beznadziejnie człapie po wiekuiście wilgotnym chodniku. Tam — złocą się jeszcze w listopadzie liście drzew, a przepyszne ich korony odbijają się w wodach „modrego” Dunaju... Podróż z Wiednia do Russe — największego z portów bułgarskich, to poemat. Pierwszą jego część stanowi szlak, wiodący do Bratislavy. Tu prze-ważają lasy, gdzie niegdzie tylko widzi się osiedla ludzkie. Wieczorem małe, drgające światełka znaczą je w oddali. Im bliżej ku Węgrom, tem krajobraz staje się bardziej malowniczy. Górzyste brzegi zwężającego się w tych okolicach Dunaju, sprawiają złudzenie przesmyku, przez który przeciska się odważnie biały dziób naszego „Łabędzia”. Po Bratislavie, dumnie rozłożonej nad samą rzeką ze swoim antycznym Hradem i wieżycami świątyni, przychodzi kolej na Eszterhom, siedzibę prymasa Węgier, dalej na lśniący tysiącami świateł, Budapeszt i tyle miast drobniejszych, które mijamy bez głębszego wrażenia. Ale wjazd do stolicy Węgier wieczorem — to bajka. Ku naszemu zdziwieniu stwierdzamy, że ludzie nie odwra-



Kobziarz bułgarski

cają się tam od rzeki jak w Polsce. Wręcz przeciwnie — centrum stolicy, to Dunaj. Tam witają nas stojące rzędem przepyszne hotele z „Denubia - Palace” na czele, dola-tuje nas muzyka cygańska, ciche szepty skrzypiec i cymbały — niezrównane cymbały węgierskie...

Ale nasz Farys nie ma czasu na dłuższy postój. Olśnieni kaskadą świateł Budapesztu, w godzinę po tym zapadamy znów w mrok nocy jesiennej. Dyskretnie skandują swoje strofy tryby maszyn, a w ich takt przychodzi sen — —

WŁ. BURKATH

NA POGRANICZU WSCHODU I ZACHODU

(Wrażenia z Bułgarii).

Nie będę nużył czytelnika opisem dalszych wrażeń z podróży. Spotkam się z nim powtórnie w bułgarskim Russe, dokąd przy-płynęliśmy z opóźnieniem. Wczesny wieczór jesienny nie pozwolił mi już na zwiedzenie bułgarskiej Gdyni ani jej słynnych urządzeń portowych. Dostaję się więc na ląd, aby w parę chwil później odjechać kurjerem do Sofji.

Co innego jest czytać o Bułgarii, a co innego ją poznać. Jest to bezsprzecznie jeden z najbardziej osoblanych krajów. Połączenie kultury Wschodu i Zachodu, romantyzm nawpół dzikiej prowincji i splendor architektury stołecznej — oto najjaskrawsze kontrasty. Legenda starobułgarska głosi, że przed wiekami Bóg, tworząc świat zamyślił się nad tem, co zrobić ze skałami, niesionymi w worze. Tymczasem worek... pękł i skały rozsypały się z wyżyn niebieskich po całym terytorjum Bułgarii. Może dlatego, patrząc na nią z lotu ptaka, wynosi się wrażenie jakiegoś chaosu w dziwnej przyrodzie tego kra-



Widok Mielnika na tle skał

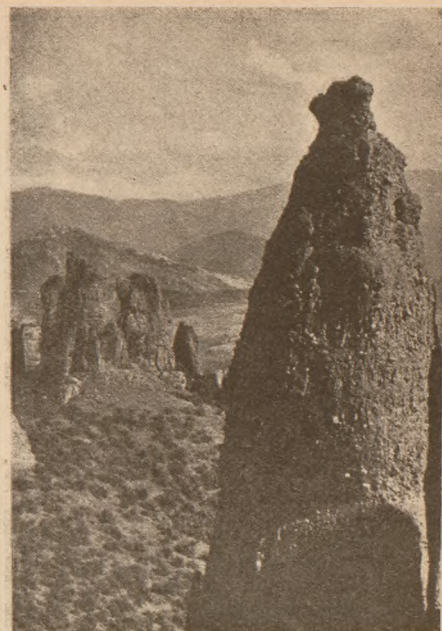
ju. Co chwila krajobraz zmienia się. Niebotyczne szczyty Pirynu, ośnieżone wiekiutą barwą srebra ustępują nagle miejsca bujnej roślinności, gdzieindziej znowu szmer strumieni górskich cicho spływających z wyżyn, zwraca naszą uwagę ku dolinom, na których rozsiadły się wioski i miasteczka. Ale wszystkie drogi górskie prowadzą do —

etnograficzne a nieco dalej — Teatr Narodowy.

Patrząc na gmach teatru odnośzę te same wrażenia, co ongiś, w Pradze Czeskiej. Tu i tam teatr stał się w czasie niewoli politycznej jedynym czynnikiem kulturalnym, który pozwolił na zachowanie najcenniejszego skarbu dla narodu — swojej odrębności i języka.



Pastwiska owiec w Górach Pirynu



Charakterystyczne skały w Bułgarii

Pamiętajmy, że do roku 1878, a więc jeszcze kilkadziesiąt lat temu, Bułgarja znajdowała się pod straszliwym jarzmem tureckim. Wszystko, co było bułgarskie, a zatem: pieśń, legenda ludowa lub strój było najsurowiej zakazane. Gmach teatru sofijskiego stał się tem samem świątynią tradycji, którą w

Sofji, która również leży u stóp gór Vitochy, a w pobliżu rozpoczynają się, przepiękne w czasie lata, doliny róż — Sofja liczy obecnie niewiele ponad 300 tysięcy mieszkańców i jest żywym dowodem wspomnianej już syntezy dwu odrębnych kultur. Jest to bezsprzecznie jedna z najstarszych stolic w Europie. Dość powiedzieć, że istnieje ona od czasów Atylli, pierwotnie pod nazwą Serdrki, następnie zaś od r. 1320 otrzymuje imię obecne od chramu św. Zofji, będącego dziś centrum dzielnicy reprezentacyjnej. Staję na placu Cara Oswobodziciela i z pod cokołu jego pomnika rozglądam się ciekawie dokoła. Z tego punktu mogę najlepiej przyjrzeć się kontrastom Wschodu i Zachodu. Monumentalny sobór Cyryla i Metodego z przyległym do niego gmachem Synodu żywo odbija od strzelistych wieżyc Bania - Baczi — meczetu, który pozostał tu jako żywa pamiątka niedawnej hegemonji tureckiej. Dzielnica ta nosi nazwę „carskiej“ (Borisowa Gradina), tu bowiem mieszczą się gmachy rządowe, ministerja, parlament bułgarski, muzeum



Kostjumy ludowe z okolic Wary



Wiejski grajek

dużej mierze dzięki niemu zdołano uchronić przed terorem okupantów. Tu mieści się obecnie opera i dramat, w tejże sali odbywają się również wielkie koncerty symfoniczne. Warto wiedzieć, że Bułgaria *uwielbia śpiew*. Pieśń ludowa liczy w tym kraju przeszło 60 tysięcy utworów a „Gusła“, to bodaj że najlepszy zespół chóralski w Europie. Wspominają mi tu o Moniuszce, którego „Halke“ wystawił przed kilkunastu laty w Sofji kapelmistrz polski, Tadeusz Mazurkiewicz.

Zresztą folklor muzyczny, to za ledwie cząstka artystycznej pracy Bułgarji. Któż nie zna jej haftów ludowych, wyszywanek i wyrobu dywanów. Kto wie, może w tej dziedzinie najbardziej zaznaczyły się wpływy tureckie.

W poszukiwaniu źródeł folkloru udaję się nazajutrz na prowincję. Zaglądam w pierwszym rzędzie do starożytnej stolicy państwa — Tirnova, dokąd dostaję się dwoma podziemnymi tunelami. Tirnov był przed wiekiem centrum kultury

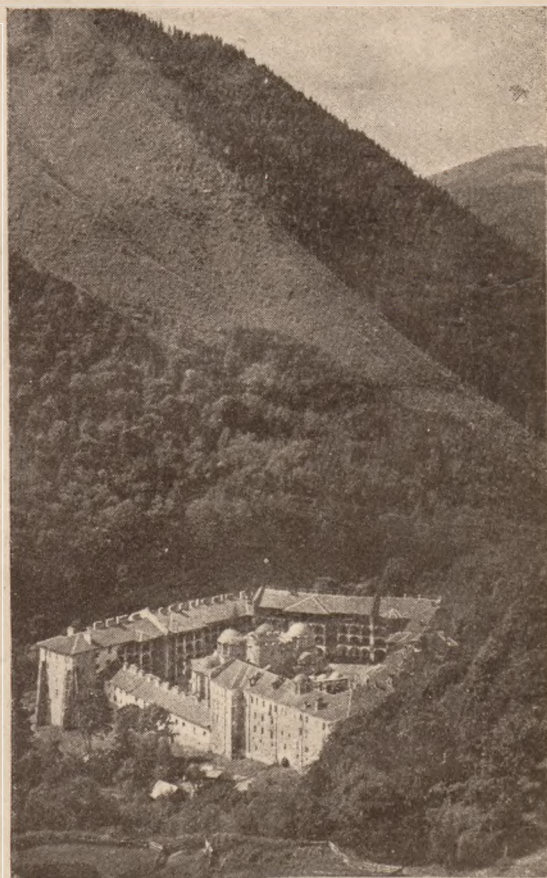
bułgarskiej. Tu rozsiadły się u stóp gór dwa największe klasztory — Preobrażeński i Troicki, architektura ich, pochodząca z XII-go stulecia spowija nas odrazu w mistycyzm. W takich murach musieli mieszkać święci Pańscy... Zaglądam na krótko do Euxinogradu — letniej rezydencji cara Borysa, położonego w sercu winnic tego kraju. Winnice i fabryki tytoniowe w Plovdiv (Filippopol) — oto dwa najpoważniejsze źródła eksportu bułgarskiego.

Zato Warna, do której przybywam w parę dni później, coraz intensywniej... „importuje“ turystów z całego świata. Jeszcze w listopadzie jest tutaj ciepło, jedynie kilkumetrowe fale, z łoskotem rozbijające się o skały nadbrzeżne i pustka na plaży świadczą, że sezon minął. Polska coraz bardziej interesuje się wybrzeżem warneńskim. Corocznie wycieczki letnie przywożą tu setki naszych turystów. Znała już w IV-ym stuleciu przed N. Chrystusa, Warna przedziwnie nadaje się na kąpielisko. Szeroka,

piaszczysta plaża, nowoczesny dom zdrojowy, osłonięcie jej od wiatrów, a wreszcie, wielka taniość, oto są plusy Warny.

Dla nas, Polaków, najbliższa jej okolica posiada szczególnie drogą pamiątkę. Tu zginął w boju i według tradycji pogrzebany został król Władysław Warneńczyk. Skromny pomnik bohatera polskiego jest celem corocznych wycieczek naszych kuraćjuszów.

Trudno powiedzieć, co jest w Bułgarji najpiękniejsze. Czy doliny róż w sercu kraju, czy dzikie urwiska skalne, wyrastające co krok przed naszymi oczyma. Czy kontrasty dwu kultur, widziane w Sofji i Tirnovie. Czy może niedostępne szczyty Pirynu: — Mielnik i Svaty Wracz, pamiętne na długie lata tragedją polskiego „Douglassa“ i — bezprzykładną ofiarnością ludu bułgarskiego. Jeśli Stwórca w istocie rozsypał cuda przyrody po ziemiach bułgarskich, to z pewnością rozmyślnie wsadził w serca tego ludu dar postokroć cenniejszy — wielkie umiłowanie człowieka. To się nie da zaprzeczyć.



Klasztor w Riła (wiek XIV) w odległości 10-ciu kilometrów od miejsca rozbicia Douglasa

WIZERUNEK CZŁOWIEKA RUDEGO

POWIEŚĆ

— Proszę mi pozwolić zabrać głos — rzekła spoglądając mu prosto w oczy — bo ja tu jestem powodem tego całego zajścia. To ja wyszłam za mąż za pańskiego syna. Zostałam jego żoną nie dlatego, że go kochałam, ale bo myślałam, że otrzymam te rzeczy, które mógłby mi pan dać. Wiem teraz jak wielki błąd popełniłam, i że muszę płacić za to. I nigdy bym nie uciekła, gdyby nie — przez pana — przez to co pan chciał uczynić ze mną. To mnie uprawniło do odejścia. Prosiłam pańskiego syna, żeby interwenjował — ale mi odmówił — prosiłam, żeby mi zwrócił wolność — bezskutecznie. Co miałam robić? Nie udało się nam uciec. Lecz cała wina jest po mojej stronie, i za to pragnie pan ukarać moich przyjaciół. Wolno panu ukarać mnie, lecz ich musi pan wypuścić natychmiast!

Uniosła dumnie głowę:

— Słuszność była po mojej stronie; po pańskim zachowaniu się miałam pełne prawo odejść. Lecz teraz sprawy przedstawiają się inaczej. Ja ich wciąż gnęłam w to. Nie zrobili nic złego. Musi pan ich wypuścić stąd.

— Wszyscy chcemy stąd odejść — zawołał Dunbar stając bliżej Hesther — myślisz, że się boimy ciebie, ty stary komeďancie, ty ruda małpo? Wypuść nas, bo cię spotka straszny koniec. Czy wiesz, gdzie będziesz jutro? Zamknę cię w celi i tłuc będziesz swój rudy łeb o ściany w domu dla szaleńców, gdzie powinni już byli zamknąć cię od lat!

— Nie, nie — przerwała Hesther — nie, nie Dawidzie. Nie w ten sposób. Nie rozumiesz. Niech pan go nie słucha. Jestem wszystkiemu winna i zostanę. Słyszysz pan? Zostanę, zostanę dobrowolnie. Niech im pan zwróci wolność. Nie zrobili nic złego. I nic nie mieli przeciw panu. Niech pan ich puści, błagam pana.

Pomimo, że panowała nad sobą, jej wzrastający lęk można było wyczytać na pobladłej twarzy. Nie o siebie się bała, lecz o nich. I lepiej go знаła od nich. Wiedziała, czytała w jego twarzy.

I Harkness czytał. Widział budzące się zwierzę. Widział duszę Crispina w szponach bestji. To bestja wyzierała z oczu Crispina. A za jej spojrzeniem stało przerażenie Crispina.

Crispin rzekł:

— To bardzo pocieszające dla mnie. Czekałem na tę chwilę.

Z kolei Harkness podszedł do Crispina i rzekł:

— Proszę mnie wysłuchać. Nie o nas troje idzie tu, ale o pana samego. Cokolwiek uczyni pan nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Nie może pan objąć władzy nad naszymi duszami, na to jesteśmy uodpornieni — bez względu na pańskie nadzieje i wyobrażenia. Ale dla pana samego to jest kwestja życia lub śmierci. Może się nie znam na medycynie, ale wiem, że pan jest chorym, poważnie chorym człowiekiem i jeżeli pozwoli pan tej bestji — która jest przy panu, czy w panu — zaważać nad sobą, to jest pan stracony raz na zawsze. Jest to panu równie dobrze wiadomem, jak i mnie. Pan wie, że zły duch zapanował nad panem. I dla pańskiego dobra radzę panu, niech pan nas puści. I nigdy więcej nie usłyszysz pan o nas. Rano, w innym oświeceniu uświadomi pan sobie, że odniósł pan największe zwycięstwo w swoim życiu. Mówi pan o panowaniu nad nami. Człowieku opanuj swego złego ducha. Wiesz, że nim pogardzasz, że gardziłeś nim od lat i od lat cierpiś przez niego. Teraz decyduje się twój los: życie lub śmierć. I sam to wiesz.

Przez jedno mgnienie oka — jedną chwilę, która była jak błyskawica Harkness spotkał się po raz pierwszy i ostatni z prawdziwym Crispinem. Nikt tego nie spostrzegł. Nikt prócz Harknessa nie ujrzał tej duszy smutnej, spragnionej i umierającej — wyglądającej z za krat więzienia. Jedno skrzyżowanie oczu rozumne bolesne i już zdmuchnięte, już zgazowane i pożrebane.

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, panie Harkness — rzekł Crispin — wiedziałem, że ten kwadrans rozmowy z wami sprawi mi rzetelną przyjemność i nie zawiodłem się. Mój przyjaciel Dunbar jest szczery i jego sposób wyrażania się dowodzi, że jest naturą bezpośrednią i że ma silny charakter. Przekonamy się za jakąś godzinę czy nie zmieni.. stylu. Te silne charaktery są najłatwiejsze do przełamania. Ale wy oboje jesteście bezsprzecznie czar-

POMADKI DO UST SZACHA



SALON ERYKA

Warecka 5

Przesła Wszystkim swoim P. T. Klientom i Sympatykom zakładu najlepsze życzenia Noworoczne.

jący. Co za altruizm! Pani myśli tylko o przyjaciółach, a pan Harkness jest jak wszyscy amerykańscy pełen subtelnego idealizmu. Stoicie tutaj, otaczacie mnie kołem jak grzeczne dzieci, którym dziadunio opowiada bajeczki. Jaki piękny obraz. I dziwię się mimo wszystko, że nie rzucacie się na mnie. Co za okazja! Co za wyjątkowa okazja! Czy to czasem nie strach? Boicie się starego, głupiego człowieka, z którego wszyscy drwią?

Dunbar uczynił krok naprzód. Harkness krzyknął:

— Dunbarze! Ani kroku dalej! Nie dotykaj go! Tego tylko pragnię!

Crispin wstał.

— Zostawię was samych na chwilę. Będzie to wasza ostatnia pogawędka. Nigdy więcej nie zobaczycie się. Zatem wykorzystajcie te chwile.

— Beznadziejne — rzekł Harkness stając przy oknie — dopomóż nam Boże.

— Tak, wasza sytuacja jest beznadziejna — rzekł Crispin najśłodszy tonem — nareszcie wybiła moja godzina. Czy wiecie jak długo czekałem na nią i czym jest dla mnie? Skrzywdziliście mnie, obraziliście mnie i zapłacicie za to. Zapłacicie i za innych. Nareszcie mam władzę nad wami! Spłyniecie krwią, przejdziecie przez najokropniejszą mękę, a skoro zadam wam tysiąc ran i leżeć będziecie u moich stóp — będę was kochał... podniosę was do godności, dam wam władzę. I będę jako Bóg...

Urwał, spojrzał na zegar i dokończył:

— Ale już czas — czas.

Dunbar huknął:

— Niech ci się nie zdaje, że uda ci się uciec. Będą nas szukali. —

— Nikt was szukać nie będzie — rzekł z westchnieniem Crispin — w hotelu otrzymają wiadomość, że pan Harkness udał się na wycieczkę, wróci za tydzień i prosi o przechowanie rzeczy... a pan Dunbar posiada, o ile mi wiadomo, tylko jedną ciotkę, mieszkającą w Gloucester. Wątpię, czy przed tygodniem zainteresuje się siostrzeńcem... A gdzie po upływie tygodnia, przy dzisiejszych środkach lokomocji można być? Faktycznie, bardzo daleko. A jeżeli coś spadnie z wieży do morza, kto się o tym dowie...

— Jeżeli pan to uczyni — krzyknęła Hesther — wtedy ja —

— Bardzo mi przykro, drogie dziecko — przerwał Crispin — że dziś po ósmej nie zobaczysz swojego teścia, którego kochasz tak bardzo, przez jakieś pół roku. Nie wątpię, że jest to dla ciebie przyjemna wiadomość. Co nie znaczy, że nie zobaczymy się więcej. Ale nie zaraz. Nie zaraz.

Harkness chwycił Hesther za rękę. Widział, że chce uczynić jakiś desperacki krok.

— Czekaj — rzekł — nie możemy teraz nic uczynić.

Hesther przytuliła się do Harknessa i wyciągnęła rękę do Dunbara.

— My troje. My się kochamy. Czyń co chcesz z nami! Nic nam nie zrobisz!

Crispin spojrzał raz jeszcze na zegar.

— Melodramat! — rzekł — ja również będę melodramatyczny. Daję wam dwadzieścia minut czasu. Gdy ten zegar wybije szóstą, będę chciał znaleźć się w towarzystwie obu panów. Pożegnacie wtedy tę damę... na zawsze.

Uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

4.

— Skończył się trzeci akt tego miłego przedstawienia. Dwudziestominutowa przerwa — rzekł Dunbar zdławionym głosem — gdybym tylko nie był taki zmęczony i, gdyby to nie stało się z mojej winy... — załamał mu się głos.

Harkness podszedł do niego i objął go ramieniem.

— Mój drogi. Jestem o wiele starszy od was. Więc proszę was bądźcie posłuszni. Wierzę święcie, że będę drużbą na waszym ślubie. Nikogo nie można winić. Wszystkiemu winna jest mgła. I nie myślmymy o tym. Jesteśmy zamknięci tutaj o wpół do szóstej zrana, zdala od ludzi, nie możemy uciec stąd, nie możemy wezwać niczyjej pomocy przez telefon, i dwaj przekłęci japończycy znacznie silniejsi od nas mają nas w swojej mocy. Jesteśmy więźniami szaleńca, który dostał ataku furji. A jednak zapewniam was, że wszystko skończy się dla nas pomyślnie! Czuję z całą pewnością. Ale mamy przed sobą dwadzieścia minut — nie — tylko siedemnaście, które nie powtórzą się nigdy w życiu. Po co robić plany, jak się zachowamy gdy ten stary djabeł zacznie z nami swoją grę — znajdzie się samo wyjście z tej sytuacji. Tymczasem wykorzystajmy te chwile.

Objął Hesther ramieniem i rzekł:

— Muszę wam powiedzieć, że kocham was oboje. Znam was tylko jeden dzień ale kocham was, jak nie kochałem nigdy nikogo na świecie. Kocham was jak brat i towarzysz. Jest to najpiękniejsza rzecz jaka spotkała mnie w życiu.

Ułatwiają sprzedaż

ogłoszenia pomieszczane w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński”

XV rok wydawnictwa.

Najwyższy nakład na terenie

Województw: Lubelskiego i Wołyńskiego.

Blizsze informacje, egzemplarze okazowe, kosztorysy ogłoszeń — na każde ządanie

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60

Noc Sylwestrowa

W najpiękniejszych salonach stolicy!

Restauracji Hotelu Polonia Palace

Atrakcje! Bogaty program artystyczny! Wyborna kuchnia! Wina i trunki wystające i odležałe.

Przytuleni do siebie serdecznym uściskiem stali wszyscy troje przy zakratowanym oknie — spoglądając na szaro-srebrne niebo po którym płynęły obłoki.

I jeżeli nawet — ciągnął — mielibyśmy umrzeć w następnej godzinie, to cóż z tego? Śmierć jest przeznaczeniem wszystkich ludzi... Poco wyobrażać sobie rzeczy straszne? Żyjmy chwilą obecną i myślimy o tem co było, jest i będzie wiecznie piękne w nas samych.

— Jednego tylko pragnę — rzekł Dunbar — żebym mógł przed śmiercią chociaż napluć w twarz temu potworowi. Harkness, jesteś kochanym przyjacielem. Nie miałem prawa wciągać cię w tę przygodę. Ale stało się. Kocham cię jak brata. I jeżeli mam myśleć teraz tylko o rzeczach pięknych to wiedzcie że myślę o Hesther, która była na początku, pośrodku, i jest na końcu wszystkiego.

Nie spoglądał na nią, ale w okno:

— Na Boga! Słońce wschodzi. Jakie to swoją drogą głupie stać tutaj bezczynnie. Ale masz rację Harknessie nic nie można uczynić, bo gdybyśmy nawet wyłamali kraty i wyskoczyli przez okno, to wpadlibyśmy w odmęt morza... — westchnął — a swoją drogą uważam, że nie wykorzystaliśmy okazji, gdy byliśmy sami z nim.

— Ne — przewrał Harkness — obserwowałem go. Chciał żebyśmy go zaatakowali przy Hesther i z pewnością miał swoich Japończyków pod ręką. Jego umysł pracuje wadliwie. Ma cały szereg zasad, którymi kieruje się. Jeżeli uczynimy taki, a taki krok to on uzależni od tego swoje postępowanie. Jakiś pomyłony kodeks sprawiedliwości. Wypracował to wszystko co do minuty. Połowa jego przyjemności polegała na ułożeniu planu, i ta rozmyślna powolność z jaką działa jest dla niego źródłem największej rozkoszy. Bawi się jak kot z myszą.

Hesther przerwała

— Tracimy czas. Wiem, czuję jak wy, że wszystko to skończy się dobrze dla nas. Niemniej on może wywieźć mnie stąd i jest prawdopodobne, że nie zobaczę was przez dłuższy czas. A jeżeli stanie się tak, to pragnę powiedzieć wam że jesteście najwspanialszymi mężczyznami, jakich spotkałam w życiu i że — cokolwiek stanie się ze mną, nigdy nie będę się czuła tak źle jak przed tym dniem wielkiej próby. Nigdy po tym co zaszło między nami i po tej nocy nie będę już tak nieszczęśliwa.

Odetchnęła głęboko i ciągnęła:

— Dawidzie, nie zdawałam sobie sprawy z moich uczuć, póki pan Harkness nie wytlómaczył mi ich.

Byłam zawsze egoistką i sędzę, że nie przestanę nią być, bowiem człowiek nie może zmienić się w ciągu minuty, ale mam przynajmniej dwóch najlepszych przyjaciół na świecie.

— Hesther — rzekł Dunbar — jeżeli wydostaniemy się stąd, i jeżeli będziesz mogła rozwieść się z tym człowiekiem, zostaniesz moją żoną?

— Tak — odrzekła — tym razem mówię tak.

A następnie położyła rękę na ramieniu Harknessa i zwróciła się do niego.

— Nie wiem dlaczego mówił pan, że jest o tyle starszy od nas. To nieprawda. Przysięka pan, że będzie pan zawsze naszym przyjacielem?

— Przysiękam. A jeżeli idzie o różnicę wieku, to wierzajcie mi, że jest szalona, bowiem urodziłem się starym człowiekiem. Urodziłem się z dziedzictwem zapożyczonych kultury. Dobre wróżki postawiły przy mojej kolebce „Dawida” Michała Anioła — „Ostatnią Wieczerzę” Leonarda da Vinci, Rembrandtów, Murrenów, Hogarthów... Dały mi to wszystko pod warunkiem, żebym podziwiał, zachwycił się, modlił do tego ale... żebym nie dotykał, żebym nie wychodził z kręgu nieśmiertelnego piękna i nie wstępował w samo życie. Tak było do dnia wczorajszego. Nie żyłem. Zestarzałem się nie żyjąc naprawdę.

Ujął nagle w ręce twarz Hesther, pocałował ją w czoło, oczy i usta.

— Nie wiem co stanie się za kwadrans. I nie chcę myśleć o tym. Ale kocham cię, jak wuj, jak brat. Ale kocham.

Odsunął się od nich z uśmiechem. Nie widzieli go dotąd nigdy tak młodzieńczym:

— Tańczyłem dokoła miasta, wspinałem się na skały, stałem oko w oko z potworem, zakochałem się, spotkałem prawdziwego przyjaciela i dowiedziałem się wreszcie, że w duszy mojej jest niewyczerpany głód piękna. Skąd się wziął? Nie posiadali go moi rodzice ani siostry, nikt nie starał się zaszczerpić go we mnie. Nie uczyniłem z nim nigdy nic do wczorajszego wieczoru, ale teraz gdy się stał potrzebny przyszedł mi z pomocą. Nareszcie dotknąłem, życia. Jestem żywy. I nigdy nie mogę umrzeć. Pamiętaj Hesther, że nie wolno tracić nadziei. Pamiętaj, że nikt cię nie może dotknąć. Jesteś panią swojej nieśmiertelnej duszy.

Słońce zalało swojemi promieniami pokój, otulając ich złotym płaszczem.

D. c. n.

Ulgowe kupony „Świata” do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej

pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99

KUPON „ŚWIATA”

upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

ważny codziennie o 8-ej również w soboty i święta, a w niedzielę nadto o 4-ej ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-ej rano do 8-ej w.

Teatr „8.15” Śniadeckich 5

Tel. 7-00-26

KUPON „ŚWIATA”

upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

(prócz sobót i świąt) w kasie teatru
od 11 — 2 i od 5-ej ppł
do 8-ej w. na wszystkie miejsca

Teatr „Wielka Rewia”

Karowa 18. Tel. 6-92-99

Kupon ulgowy „Świata”

upoważniający do nabycia 2-ch biletów

z 40% zniżką

w kasie teatru od 11 — 2

i od 5-ej do 8-ej

CWIAZDY WROZA W 1938 ROKU



duże zmiany w gospodarstwie domowym, dzięki użyciu oszczędnych i tanich grzejników elektrycznych sprzedawanych na raty w salonie elektrowni miejskiej ul. marżałowska

N:150

PRACE SEKCJI MORSKIEJ MUZEUM TECHNIKI I PRZEMYSŁU.

Muzeum Techniki i Przemysłu, mające za zadanie zilustrowanie rozwoju cywilizacji, a szczególnie ze specjalnym uwzględnieniem dorobku polskiego, uścisnie dąży do należytego rozwoju również i Działu Morskiego. Opiekująca się rozwojem tego Działu Sekcja Morska, odbyła swe pierwsze inauguracyjne posiedzenie w dniu 1 grudnia 1937 r., pod przewodnictwem p. dyr. Dep. Morskie-

go Min. P. i H. H. Leonarda Możdżeń-
skiego, przy łask. współudziale p. Gen. S. Kwaśniewskiego — Prezesa Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Kmdr. Inż. K. Czernickiego — Kier. Sztabu Kier. Marynarki Wojennej, St. hr. Ledóchowskiego — twórcy Muzeum Marynistycznego w Warszawie, czołowych pracowników poszczególnych Wydziałów Dep. Morskiego oraz szeregu innych wybitnych znawców spraw morskich, jak również przedstawicieli Dyrekcji Muzeum, z Dyr. Inż. K. Jackowskim na czele.

Zebrani obejrżeli już wykonane zbiory Działu Morskiego, mieszczące się w jednej z sal w gmachu Muzeum przy ul. Tamka 1, jak również szereg eksponatów znajdujących się jeszcze w przygotowaniu w pracowni Muzeum. Wielce dydaktyczny sposób wyjaśniania przedstawionych zagadnień oraz artystyczne ujęcie, wywołały ogólne uznanie. W szczególności uczestnicy zebrania podkreślili już osiągnięte stosunkowo poważne wyniki pracy.

W dyskusji została podniesiona konieczność bliższej współpracy pomiędzy specjalistami w zakresie poszczególnych zagadnień morskich a Dyrekcją Muzeum. Dyrekcja stale dąży do tej współpracy, a zebrani wyrazili gotowość poparcia wysiłków w tym kierunku, zarówno w zakresie prac programowych, jak i dla celów informacyjnych oraz przy uzyskiwaniu eksponatów.

Wytworne krawiectwo męskie

H. LIPSZYC

Gmach Opery — Pod Filarami



Nigdy nie jest zapóźno myśleć o zdrowiu tem bar-
dziej jeźli cierpisz na
chorobę nerek, pęcherza, wątroby, kamieni żółciowych, złej przemiany
materji, na bóle artretyczne, czy podagryczne, wzdęcie brzucha,
o tbijanie się lub skłonności do obstrukcji — Pamiętaj, że nigdy
nie będzie zapóźno, o ile używać będziesz ziół moczopędnych „DIUROL”,
które zapobiegają nagromadzeniu się kwasu moczowego i innych szko-
dliwych dla zdrowia substancyj, zatrzymujących organizm. — Dziś
jeszcze kup pudeł- czko ziół „DIUROL” a gdy przekonasz się o do-
datnich skut- ach ich działania, zalecać będzie- z swym z ajonym Sposób uży- cia
na opakowaniu. Oryginalne ZIOŁA „DIUROL” GAŚCICKIEGO (z kogutkiem) sprzedają
apteki i składy apteczne.

Słownik bronioznawczy

Pożyteczna inicjatywa Tow. Przyjaciół
Muzeum Wojska.

Na odbytem w ubiegłą niedzielę po-
siedzeniu Stowarzyszenia Przyjaciół Mu-
zeum Wojska powzięto doniosłą i godną
uznania myśl wydania słownika bronio-
znawczego. Zamiar ten ma donioślejsze,
aniżeli można by na pierwszy rzut oka
przypuszczać, znaczenie, gdyż nie tyl-
ko da do rąk fachowców ustaloną no-
menklaturę w pewnej dziedzinie, ale
przyczyni się do powiększenia literatury
fachowej językoznawczej.

Inicjatywę podjął i projekt uzasadnił
członek Stowarzyszenia inż. K. Grodec-
ki, po czym rozwinęła się ożywiona dy-
skusja nad sposobem zorganizowania
pracy naukowej i redakcyjnej wydaw-
nictwa.

Ustalono skład ścisłego Komitetu re-
dakcyjnego w osobach: inż. K. Grodec-
kiego, dyrektora Br. Gembarzewskiego
i rotm. Wł. Dziewanowskiego, redaktora
czasopisma „Broń i Barwa”, któremu po-
wierzono dokooptowanie specjalistów z
dziedziny bronioznawstwa oraz języko-
znawców.

TEATR MALICKIEJ

od Sylwestra wystawia komedję
G. B. Shaw'a „Kandida“.

SUZY SOLIDOR



Popularna „discuse” łąyska wy-
stąpi z jednym wieczorem w sa-
li Konserwatorium 7 b. m.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



INŻ.-MECHANIK JÓZEF KOJUSA

Urodzony 8 marca 1867 r., ukończył szkołę Wawelberga i politechnikę w Liège — praktykował w firmie S-té A-me John Cocherill Sevaing, Belgique, gdzie później zajmował stanowisko szefa wydziału konstrukcji silnie precyzyjnych. W Belgji cieszył się opinią jednego z najzdolniejszych fachowców. Proponowano mu stanowisko dyrektora, lecz odmówił, oświadczając, że chce pracować w swoim kraju.

Po powrocie do Polski, nie zaniedbuje pracy fachowej, czego dowodem liczne prace naukowe, szereg wynalazków, z których najważniejszy to popularne dzisiaj w użyciu ruszty wewnętrzne Kojusy na mial.

O wybitnych zdolnościach zmarłego świadczy jego sukces uzyskany za młodych lat pracy zawodowej, uruchomienie maszynierji kotłowej w jednej z łódzkich fabryk, do której daremnie wzywano sławę zagranicze.

Żywotna działalność w organizacjach fachowych i społecznych zdobyła mu ogólny szacunek i poważanie. Charakterystycznym objawem dla żywotności ś. p. Zmarłego są liczne żetony i nagrody sportowe, jak również fakt nieustraszonej pracy do chwili krótkotrwałej choroby, która zakończyła jego pracowity i wydajny żywot.



Doroczne posiedzenie Komitetu Muzeum Przemysłu i Techniki

Posiedzenie doroczne Komitetu Fachowego Muzeum T. i P. zgromadziło 17 b. m. w gmachu Muzeum przy ul. Tamka 1 kilkudziesięciu przedstawicieli świata naukowego i technicznego, przyczem reprezentowane były również poszczególne wielkie ośrodki przemysłowe.

Posiedzenie odbyło się pod przewodnictwem rektora Politechniki Warszawskiej prof. dr. J. Zawadzkiego.

Obszerne sprawozdanie z pracy organizacyjnej na terenie 28 Działów Muzeum złożył dyrektor muzeum inż. K. Jackowski, ilustrując przykładami stały postęp w rozwoju poszczególnych Działów, obejmujących całokształt polskiej techniki i przemysłu.

W dyskusji zabrał głos prof. dr. Szulc, który zgłosił ważne oświadczenie odnośnie gotowości przekazania zbiorów Muzeum Higieny przy Państwowym Instytucie Higieny do dyspozycji Muzeum Techniki, po wybudowaniu gmachu opracowanego przez Komitet Budowy, a odpowiadającego nowoczesnym wymaganiom „żywego” muzealnictwa.

Z kolei naczelny dyrektor Gazowni Miejskiej dr. B. Roga zwrócił się z apelem do przedstawicieli poszczególnych gałęzi przemysłu o jaknajściślejszą współpracę z przedstawicielami nauki dla dobra placówki, która ma tak szczytne zadania do wypełnienia jak Muzeum Techniki i Przemysłu.

Sprawę ogromnej ciasnoty, która panuje w trzech lokalach zajmowanych obecnie pod zbiory, poruszył wiceprezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Gdyni inż. A. Dziedziul. Mówca wyraził zdziwienie, że stolica Polski nie zdołała jeszcze uporać się ze sprawą gmachu dla tak potrzebnej placówki, jaką jest Muzeum T. i P., popularne nie tylko w stolicy, ale i na szerokiej prowincji.

Rektor prof. dr. J. Zawadzki, reasumując dyskusję i wyrażając w imieniu zebranych pełne uznanie władzom muzeum stwierdził, że cała linja rozwoju Muzeum Techniki i Przemysłu, przedstawiona przez Dyрекcję, znajduje żywy odzew i aprobatę szerokiej opinii polskiego świata naukowo-technicznego.

Do solenia przy stole
potraw

używaj tylko

SOLI
STOŁOWEJ
„VACUUM”

w opakowaniu

Polskiego Monopolu
Solnego

1 kg. soli stołowej

zwykłej — 46 gr.

1/2 kg. soli stołowej

zwykłej — 25 gr.

1/4 kg. soli stołowej

jodowan. — 25 gr.

Żądać w każdym sklepie
kolonialnym



Znany od lat naturalny



PRZY
ARTRETYZMIE
REUMATYZMIE
SKLEROZIE



z marką ochronną „ff”



Wieczorowe przybranie głowy: dwie jaskółki z pajątek przytrzymują woalkę z czarnego tiulu. Model „Chanel”

Szaleć czy nie szaleć? — Oto pytanie...

Odpowiedź kategoryczna: szaleć!

Kryzys minął, jak słyszymy ze wszystkich stron. A i o tym kryzysie znawcy właściwie orzekli, żeśmy go samochcąc głupio przedłużali — owem przysłowiem już „zaciskaniem pasa”. „*C'est le luxe des riches qui donne le pain quotidien aux pauvres*” — wymyślili już dawno mądrzejsi od nas francuzi. I chodzenie w chodakach i zgrzebnym worku wcale tam nie jest uważane za cnotę.

Więc szaleć!

Naturalnie — wedle stawu grobla. To znaczy, że wcale nie namawiam, aby subjekt sklepowy sprawiał sobie na karnawał futro na bobrach, a panienska od maszyny, zarabiająca 150 złotych miesięcznie, aby się zadłużała dla brylantowej kolji. Ale na miłość boską, skończmy raz z tą psychozą że „nie wypada” posiadać pieniędzy wydawać! Kto je ma — właśnie niech je puszcza w ruch — jest to jedyny sposób na ogólny wzrost zamożności.

Mój Boże... miałam pisać o modzie... Traktat ekonomiczny wcale nie leżał w moich planach. Więc — wracajmy do tematu. A tematem — szaleństwo i karnawał, wyjątkowo długi w tym roku — a więc nikt się tym razem „wycieczką narciarską” od udziału w ogólnym szaleństwie nie wywinie.

Można w tym sezonie być modną i wydać względnie niewiele. Można też, naturalnie, wydać bardzo dużo. Wszystko zależy będzie od — użytych na toalety tkanin.

Karnawał rozpoczęty

Wspaniałe lamy, najwymyślniejsze i najdroższe koronki — są niewątpliwie bardzo modne. Kogo na to nie stać — każe do zeszłorocznej czarnej gładkiej sukni wieczorowej dorobić z lamy bolerko czy żakiecik, dokompletuje to bardzo ściśle dobranym przybraniem głowy — i także może być ślicznie. Bo moda tegoroczna jest właśnie... niewymagająca. To znaczy, że można ją troszeczkę — oszukać.

Oszustwo najzręczniejsze polega na tem, że do całości już nie no-

skie elegantki nie zaczęły z opóźnieniem tej koafiury stosować. Polega ona na spuszczeniu na plecy włosów zupełnie gładkich, ulizanych szczotką, i na dole podwiniętych, ale nie w rulonik nad szyją, jak dotąd, tylko pod spód, nisko, (jak Greta Garbo w roli Krystyny Szwedzkiej). Uczesanie nieporządne, nieestetyczne, nieapetyczne. W Paryżu czeszą się już tak przeważnie midinetki. Dla kontrastu damy zaczynają zaczesywać włosy — *ku górze*. Gładko nad karkiem, trochę naukos, zawinięte w dwa skrzyżowane loki, płasko upięte na czubku głowy — oto linja przyszłości. Głowa znowu małeńka, rasowa, linja szyi czysta, odsłonięta.

Na takim uczesaniu upina się na wieczór — „coś”. Różne różności. Czasem cudaczne — czasem urocze. Ale głowa nieprzystrojona wydaje się nieubrana — więc trzeba owo „coś” obmyśleć.

Prześliczny wydaje mi się pomysł, który czytelniczki moje zobaczą na jednej z załączonych ilustracji. Nad czołem przypięte są do włosów dwie jaskółki z pajątek — kolor ich zależy od koloru włosów. Na jasnych włosach — szafirowe, czarne lub szmaragdowe, na ciemnych — złociste, białe albo błękitne. Te jaskółki stanowią właściwie jakby klamrę, z pod której spływa czarna tiulowa woalka.



Kapelusz wieczorowy czarny, przybrany egretami pasowymi i fioletowymi. Model „Louise Bourbon”.

wej (ale naturalnie bezwzględnie bardzo świeżej) — dobieramy parę szczegółów które stanowią jakby metrykę tegorocznej mody. Któż wtedy, patrząc na wymyślne szczegóły, zauważy że reszta zasługuje już na „medal za wierną służbę?”

Szczegóły tak bardzo typowe w tym sezonie to: „stroiki” wieczorowe głowy, mufeczki wieczorowe zamiast torebek, uczesania zupełnie inne niż w ubiegłych sezonach, — no i charakter wieczorowych płaszczy.

Zacznijmy od głowy. Uczesanie, za którym w tej chwili szaleje Paryż — jest ohydne. Już się zapowiada jego odwrót wobec nadmiernego spopularyzowania — więc bardzo proszę, aby warszaw-



Kapelusz wieczorowy z czarnego velours-chiffon, przybranie stanowi ogon srebrnego lisa, owijający tył głowy. Model „Erik”

ka, dodająca twarzy pani wiele tajemniczego uroku, a całej sylwetce lekkości.

Druga ilustracja przedstawia „une visière” — czyli daszek, mówiąc poprosto — w rodzaju tych, jakie w lecie noszą tenisistki. Tylko ten wieczorowy jest o wiele bardziej fantazyjny, brzeg ma duży i odwinięty, a w górę strzelają dwa paradisy każdy innego koloru. Czy mi się podoba? Nie... Podaję go, bo jest modny, ale specjalnie nie radzę.

Na główce młodej brunetki widziałam strój pelen prostoty: nad czołem girlandkę z niedużych białych aksamitnych kwiatków. Mogą być innego koloru — stosować je należy do sukni. Molyneux lansował z początkiem sezonu do toalet wieczorowych kapelusze z wielkim rondem, bardzo nad czołem odwinięte, i podszyte błyszczącymi pająkami. Jaskrawe to, dość wyzywające, i kłopotliwe. W Warszawie nie widzę na coś podobnego żadnego zastosowania. Klasyczny turban, spleciony z velours chiffon i lamy — to jedno z niezawodnych upiększeń kobiecych. Dlatego świetne znawczynie urody kobiecej w Paryżu, Madame Agnès i jej konkurentka Jane Blanchot — to przedewszystkiem radzą swoim klientkom jako wieczorowe przybranie głowy.

Wspomniałam o mufeczkach. Moda nie tylko śliczna, bardzo kobieca, ale i niesłychanie praktyczna. Uzupełnia w sposób wykwintny toaletę, daje jej od razu ton „dernier cri” — a wszystko tak małym kosztem... Robi się te małe baloniki ze wszystkiego: z kwiatów, z piórek strusich, z szfonu, z tiulu, z lamy, — zawsze ściśle dobrane do stroju głowy, do sukni, lub do pantofelków. Ukryty zameczek otwiera się — i w mufce ukazuje się woreczek, który doskonale zastępuje torebkę wieczorową.

Ostatnią cechą charakterystyczną tegorocznej toalety wieczorowej jest jej niemal nieodstępny towarzysz — płaszcz wieczorowy. Tu już „wykręcenie się” byle czem nie będzie łatwe. Płaszcze te robi się z pięknych tkanin, aksamitu, lamy, brokatu, z bogatym przybraniem z futra. Linja tych płaszczy bywa rozmaita: Paryż je lubi długie do samej ziemi, mocno wcięte w pasie, kloszowe w dole. Lisy otaczają miękką linią szyję i ramiona pani, spływają wąskimi pasami pionowymi aż do dołu



Płaszcz wieczorowy trzyćwiertciowy z czerwonego aksamitu, rękawy całe z czarnych lisów. Model Edmond Courtaud



Charakterystyczny dla obecnej mody kapelusz bez ronda, bardzo wysoki z przodu, z weluru. Model Agnès

płaszcz, nadając wysmukłość sylwetce. Płaszcz, który tu zamieszczamy jest w innym rodzaju — może na warszawski użytek będzie odpowiedniejszy: mianowicie trzyćwiertciowy, więc łatwiejszy do noszenia, gdy przed domem nie czeka na panią własne auto. Płaszcz ten jest z czerwonego aksamitu, ogromne rękawy całe z czarnych lisów. Długie czarne rękawiczki dopełniają całości. Noszony do prostej czarnej sukni wieczorowej płaszcz ten wygląda bardzo wytwornie. Jeżeli zaś pani dużo bywa, to proszę sobie do tego płaszcza zrobić drugą suknię strojnieszszą — z lamy srebrno-czarnej. Całość będzie olśniewająca. Najstrojniejsze płaszcze wieczorowe w Paryżu robi się z lamy, a nawet z grubej koronki z futrem. Ale to są już w naszym klimacie takie sobie tylko platoniczne westchnienia...

Płaszcz wieczorowy według wskazań mody tegorocznej wcale nie powinien być w kolorze sukni. Przeciwnie — kontrasty są pożądane, ale naturalnie nie znaczy to, aby pani mogła ubrać się jak papuga. Wprawdzie pewna ekscentryczna paryżanka włożyła do czerwonej sukni płaszcz jaskrawo zielony — i jakoś jej to uszło... Ale lepiej w skromnych warszawskich warunkach tak ryzykownych zestawień barwnych nie próbować.

Lustucru.

PIĘKNOŚĆ I KULTURA CIAŁA.

Pod tym tytułem ukazała się w tych dniach wytworna książka, która niewątpliwie zainteresuje każdą panią. Treść podzielona została na dwa odrębne działy, z których pierwszy — KOSMETYKA — opracowany jest przez znaną w tej dziedzinie specjalistkę, nader wśród eleganckich pań popularną panią Zofję Wasilewską. Część drugą — HYGJENĘ — opracował fachowo lekarz, dr. Stanisław Bednarzewski. Sam przegląd tytułów poszczególnych rozdziałów zachęca do przestudjowania tego pożytecznego dla pań wydawnictwa: Jak zdobyć młodość, wdzięk i urodę. Najwięksi wrogowie urody kobiecej. Upiększajmy się. Ozdobna ramka — oto tytuły działu Pani Zoji.

Niema wątpliwości, że książka bardzo ozdobnie wydana i upiększona licznymi ilustracjami, cieszyć się będzie wielkim powodzeniem.



Niedługo ujrzymy na ekranach nowy film, wytwórni R. K.O. Radio — Jest to „Stage Door“, interesujący specjalnie dlatego, że wystąpią w nim razem dwie gwiazdy, Katarzyna Hepburn i Ginger Rogers

Kraj Miłości

Studio

Wytwórnia Tobis sprawiła nam miłą niespodziankę, dając obraz wdzięczny i pełen rzetelnego humoru. Komedja „Kraj miłości“ ma

akcję o zacięciu wybitnie operetkowym. Historia dzieje się na „dworze królewskim“ z nieodzownymi rekwizytami operetkowymi. A więc — parady, mundury, rewje, wesoła muzyczka, krotchwilne damy dworu, matłokowaty napózór, a sprytny szef policji i stary arcykomiczny ramol — minister spraw wewnętrznych.

Temat, jak widzimy nie jest nowy, przeciwnie, ograny już, bezpretensjonalny — tembardziej podkreślić należy reżyserskie zdolności

ŚWIAT

Reincholda Schünzel'a, który potrafił wydobyć z niego nowe wartości, dodać mu wdzięku i życia, okraszyć błyskotliwym humorem — tworząc zeń prawdziwą perłkę kinowej lekkiej komedji. Czołowa para amantów mało u nas znani Gusti Huber i Albert Matterstock, zadali kłam ugruntowanemu i często słusznemu przekonaniu o artystach niemieckich. Niezbyt pochlebne zdania tak często wygłaszane o ich grze, kulturze i aparacji — tutaj w najmniejszej mierze nie mają zastosowania.

Młodzieńcza ta para była wcieleniem uroku życia, charme'u, subtelności i rzetelnego talentu aktorskiego. Ani cienia banału, pływaczyny, papierowości, w które łatwo wpadają odtwórcy ról operetkowych kochanków. Obok tej przemilej pary występują matka księżniczki i zaufany doradca króla, to były znakomite typy, podane z taką rozbijającą prostotą, wyśmiewającą rozmaite słabości i namiętności ludzkie z tak finezyjną ironią, że należy im się tyleż uznania, co głównej parze bohaterów.

Z przyjemnością stwierdzić należy, że tym razem nie padnie pod adresem filmu niemieckiego ani jeden z często powtarzanych zarzutów, chyba tylko życzenie, abyśmy mogli częściej oglądać równie miłe i na poziomie artystycznym stojące obrazy. H. D.

FILMU

CLARK GABLE.

Aktorzy, starający się o naturalność na scenie i przed obiektywem, bywają zazwyczaj sztuczni w życiu. Jest to stara prawda, która nie stosuje się do jednego artysty — Clarka Gable'a.

On jeden bodaj w całym Hollywood jest jednaki w życiu i na filmie — szorstki, serdeczny, pełen energii i rzutkości. Rzutkość zresztą była promotorem jego obecnej kariery. A kariera ta prowadzi zygzakami z pól naftowych w Pensylwanii do tronu amantów filmowych, na którym od paru lat zasiada Clark Gable. Szesnaścieletni zuch wyrusza w świat. Włóczy się trochę, pracuje jako robotnik, potem nadzoruje przy robotach ziemnych — i wraca do domu, bogatszy w doświadczenie, że wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.

Rodzice nie żyli doń urazy. Przeciwnie, chcąc skierować energię chłopca na właściwe tory, umieścili go w szkole medycznej przy Uniwersytecie w Akron. Ale wilka ciągnie do lasu. A Clark był właśnie tym wilkiem, który lubił błądzić w nieznanych lasach życia. Więc gdy dzięki znajomości — zawartej przypadkowo w kawiarni — udało mu się zostać statystą w miejscowym teatrze, zrezygnował z medycyny. Gdzie się tylko dało — próbował swych zdolności aktorskich, grając nieodmienne role... czarnych charakterów. A gdy interesy poczęły kuleć, zdecydował się szybko. Postawił wszystko na jedną kartę — i pojechał do Hollywood szukać szczęścia.

Nie bardzo entuzjastowano się tam przybyciem z Ohio, który wydawał się zbyt szorstki, jak na ówczesne wydelikowane gusty. Ale że był zdolny — udało mu się zyskać najprzód drobne, później nieco poważniejsze role.

...aż przyszła „the big chance“ — wielka okazja.

Zwrócił na siebie uwagę reżysera Mac Loona i dostał czołową rolę w filmie

„Chicago“ obok Nancy Carroll. Odnosił sukces — i... dla niewytłumaczonych bliżej powodów wyjechał do Nowego Yorku.

Dopiero tutaj poznano się na talentcie... i urodzie młodego aktora. Przyjęto go z entuzjazmem. Kobiety zasypywały go komplementami. Clark Gable stał się „modny“.

Lionel Barrymore — naówczas reżyser filmowy — widział go na scenie i sprowadził z powrotem do Hollywood. Zawarł też z nim kontrakt w imieniu Metro - Goldwyn - Mayer, po długich i trudnych pertraktacjach, gdyż wiele było sprzeciwów wysuwanych przez „fachowców“. Między innymi uważano, że Gable jest... za wysoki i że ma odstające uszy (autentyczne). Ale Barrymore uparł się, wiedział, że upolował nie lada zwierzynę. Przyszłość miała okazać, że miał w stu procentach rację.

Powodzenie nie zmieniło Clarka Gable'a. Jest teraz tak samo szczerzy, prosty i bezpośredni jak przed laty.

I tak samo teraz, jak dawniej, cierpi na przedziwny głód wędrówki, który go kiedyś, jako 16-letniego chłopca pchnął w świat.

A choć los obdarzył go wielu przywilejami — ten głód pozostał niezaspokojony i trwa. I ilekroć pytają go o najszerwsze, najprawdziwsze życzenie, zawsze, nieodmiennie odpowiada: „W świat...“

Prywatne życie gwiazdora osnute jest mgłą tajemnicy. Mało kto wie, że jest żonaty, i to — aż dwa razy. A prawie nikt nie wie — z kim.

Wiadomo tylko, że przeżył wielką tragedję, o której nigdy nie wspomina.

Jest wielkim domatorem, w całym Hollywood jest niesłychanie popularny, i to we wszystkich sferach — od robotników do szefów wielkich koncernów.

Jest najsławniejszym amantem srebrnego ekranu, wartościowym człowiekiem, czarującym mężczyzną i wielkim, szczerym talentem z Bożej łaski.



Clark Gable w karykaturze Kibalenki

Fabryka Frykotazy
Jan Matuszowski
102 Marszałkowska 154
Armii 33 Nowy Świat 40
Marszałkowska 56

Proszek od BÓLU GŁOWY
DŁA DOROSŁYCH ZE ZN. FABR.
KOWALSKINA
stosuje się również
PRZY PRZEZIEBIENIU
GRYPY I KATARZE

WYTWORNY PUDER GELOBIL WARSZAWA KREM ODŻYWCZY

ŻĄDAJCIE najwyraźniej tylko: „OLLA“ Gum...!

TRYKOTAŻE TRICOT WARSZAWA POŃCZOCHY MARSZAŁKOWSKA 123

PUDER 100 KWIATÓW
CENT FLEURS
CHERYS
DOSKONAŁOŚĆ GATUNKU DECYDUJE

przy hemoroidach
CZODKI I MASO
VARICOL
GASECKIEGO
DO MASYCJA W KAŻDEJ APTECE

COGNAC
MARTEAU

PROSZKI MIGRENO-NEUROGIN
Kogutek
ZASTOSOWANIE:
BOLE GŁOWY I ZEBÓW.
GRYPY, PRZEZIEBIENIE i t.p.
Sprzedają apteki.

To już przysłówie: MODNE TKANINY CWEJKO TANIO SPRZEDAJE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego № 39.

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10-13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11-1 pp. tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów redakcja nie zwraca

WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł 5.— Kw. zł. 13.50 gr., z odnośz. do domu mies. zł. 5.50 gr. kw. zł. 15. Zamiejscowa mies. zł. 6, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. z. 8, kw. zł. 21.60 gr.

Każdy prenumerator otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.



MICKEY, CZYTELNICZKA „ŚWIATA“, ŚLE SWOIM SYMPATYKOM ŻYCZENIA NOWOROCZNE

DAN- CING PARADIS NOWY- ŚWIAT 3

Program od 6 do 9-tej wiecz. i od 10 w. do 2-ej w nocy. Od godz. 2-ej w nocy do rana **doskonale śniadania**. W dni powszednie z wyjątkiem dni przedświątecznych. **ULGOWA KONSUMCJA** po zł. 1.85 wyłącznie dla Gości przybyszających między g. 10 a 11-tą wiecz., z prawem pozostania przez całą noc.

Zaprasza czytelników Świata na artystyczny program grudniowy. Występują świetna tancerka angielska Fay Thompson, znakomita tancerka węgierska Lenke Verseczy, czołowy duet polski siostry **ADRIAN**, tancerki Wanda Cesarska i Halina Lorett oraz słynna pieśniarka — **WIERA GRAN**

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI.

Wydawca: „ŚWIAT” Spółka Wydawnicza z o. o.

Druk. W. Łazarski. Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA”, Żelazna, 58a